

Lustra Chaosu — Światło Poza Mgłą

Autor: Accurate Accu Memory

Korekta: Vulture

[Akcja rozgrywa się pół roku po Lustra Chaosu I Sen, który miał być Domem]

PROLOG – Ślady we Śnie

Minęło wiele miesięcy od ostatniej gry. Od czasu, gdy lśniąca bańka ich świata rozpadła się na ciszę. Od chwili, gdy Meluś — dawniej Melody — dotknęła lustra i po raz pierwszy od dawna nie zobaczyła w nim tylko chaosu.

Życie w Dolinie toczyło się dalej. Dzieci wróciły do szkoły. Dorośli — do swoich trosk. A Meluś i JellyDrop? Bawiły się znów, tak jak kiedyś, ale coś w ich oczach pozostało inne. Śliwkowe. Nie tylko z koloru, lecz z pamięci.

I właśnie wtedy, gdy dni stawały się coraz bardziej zwyczajne, a mgły rzadziej otulały dolinę — zaczęły wracać sny.

Nie te straszne, pełne spiral i luster. Nie. Te były inne. Delikatniejsze. Ciepłejsze.

W śnie Meluś znajdowała się wśród liści, na granicy lasu. Nad sobą miała niebo jak z dziecięcego rysunku — zbyt błękitne, zbyt miękkie, by być prawdziwe. A w oddali... głos.

Cichy. Znajomy.

– Chcesz się pobawić?

Odwracała się, ale nikogo nie było. Tylko echo słów, które kiedyś znaczyły więcej.

I potem, jeszcze ciszej:

– Tym razem... nie będzie zaklęć.

Meluś budziła się z sercem, które biło za szybko. Ale nie ze strachu.

Z tęsknoty.

Czyżby... naprawdę wróciła?

Czy coś w niej... naprawdę jeszcze czekało?

INTERLUDIUM I – Maseczka i Echo

Wieczór był ciepły i pachniał ziołami z kuchni. Za oknem świerszcze grały cicho, jakby chciały, by nikt nie przeszkadzał w tej rozmowie. Pokój Melli był ten sam co zawsze: pościel w kropki, rysunki na tablicy korkowej, półka z książkami, których już nikt nie czytał na głos.

JellyDrop siedziała na łóżku, skulona, z kolanami przyciągniętymi do klatki piersiowej. Miała na sobie starą, różową maseczkę snu — tę samą, którą nosiła w tamtych czasach. Niby żart, niby wspomnienie... a może coś więcej.

– Znowu mi się śniła. – powiedziała cicho, bez spojrzenia w stronę Melli. – Była przy jeziorze. Z tą swoją fryzurką i głosem jak miód z herbatą... Ale tym razem nie mówiła: *chodź*. Tylko: *możesz*.

Meluś siedziała przy biurku, machając ogonem, jakby wciąż nie była pewna, czy to tylko sen, czy coś więcej.

– U mnie była na huśtawce. – szepnęła. – Tylko patrzyła. Bez czapeczki. Bez spirali. Jakby chciała zapytać, ale się bała.

Zapadła cisza.

Jelly zdjęła maseczkę i położyła ją na kolanach. Przez chwilę gładziła ją kopytkiem.

– Myślisz... że naprawdę wróciła? Że to *ona*? Nie ta od Discorda. Tylko nasza. Tamta z ciepłym głosem. Z domkiem z kocy.

Meluś spojrzała na nią uważnie. W jej oczach była nie tylko niepewność, ale i... cień nadziei.

– Nie wiem. Ale jeśli... jeśli *naprawdę* wróciła... to może... też ma już dość bycia tylko odbiciem.

Jelly skrzywiła się lekko.

– A jeśli to pułapka? Jeśli znów nas chce... zmienić? Zabrać?

Meluś podniosła wzrok, spokojnie.

– To wtedy powiemy: *nie*. Ale jeśli nie spróbujemy... nigdy się nie dowiemy.

Chwila milczenia była jak dotyk starego snu — znajomego, ale zmatowiałego przez czas.

Jelly uśmiechnęła się słabo.

– Wtedy... przyniosę maseczki dla nas obu.

Meluś uśmiechnęła się również. Ale nie odpowiedziała. Bo w głębi serca wiedziała, że tym razem... nie będą spać tak spokojnie jak kiedyś.

INTERLUDIUM II – Tylko Głos w Pustce

Galeria była pusta.

Nie dlatego, że brakowało dzieci. Nie dlatego, że brakowało śmiechu. Ale dlatego, że... coś się skończyło. Coś, co kiedyś tętniło jak serce utopii — teraz cichło jak niedopowiedziana bajka.

Screwball szła powoli spiralnym korytarzem, gdzie niegdyś wirowały światła i śpiewały bańki. Każda z nich była kiedyś snem siostry. Małym światem. Bez bólu. Bez zimnych mam. Bez prawdy, która łamała.

Zatrzymała się przy jednej z baniek.

Pulsowała delikatnie. Nie z jej własnego snu — z czyjegoś innego. Dziewczynki. Dwie. W pokoju. Cicho rozmawiały. Jedna głaskała maseczkę, druga wpatrywała się w okno.

Meluś i Jelly.

Screwball nie wchodziła do snu. Tylko patrzyła z zewnątrz. Nie miała prawa. Nie teraz. Ich sny były ich. Ich głosy — czyste. Niewinne, mimo wszystkiego.

Zamknęła oczy.

Była przy jeziorze. Ale tym razem nie mówiła: chodź. Tylko: możesz.

Meluś powiedziała to tak cicho. A jednak... dotarło.

Screwball uśmiechnęła się słabo. Po raz pierwszy od wielu dni nie w masce, nie w czapeczce. Bez śmiechu. Bez spirali.

— *Możesz.* — powtórzyła sama do siebie, jak echo.

Usiadła przy zgaszonym globusie snów, który kiedyś obracał się pod łapkami klaczek. Gładziła go teraz powoli, jakby chciała znów uruchomić ten świat. Ale już nie przez zaklęcia.

Wspomnienia wracały.

— *Nie musisz pamiętać, siostrzyczko.*

Tak mówiła. Zawsze. Tak zbudowała utopię — z iluzji i zapomnienia. Było to wygodne. Proste. Ciepłe.

Ale potem...

Widziała ich twarze, kiedy dała im wybór. Jelly, która potrząsnęła głową. Meluś, która milczała tak długo... aż powiedziała zatrzymaj. Chciały pamiętać. Nawet jeśli bolało.

Dlatego teraz — nie błagała. Nie podchodziła. Nie rzucała śmiechu jak płaszcz ochronnego.

Obserwowała. I czekała.

Aż zapytają same.

Patrząc w gasnące światła Galerii, westchnęła.

— Ojciec... — wyszeptała, nie z miłości. — Już nie jestem twoją.

Głos jej był łagodny. Ale czysty. Bez podwójnego dna.

Zamknęła oczy.

Jeśli miała kiedyś zbudować coś nowego... to nie na twoim fundamencie, Discordzie.

Nie na kłamstwach.

Nie na ciszy.

Ale na głosach. Prawdziwych. Tych, które jeszcze kiedyś do niej powiedzą:

Tak. Możemy spróbować. Ale tym razem – razem.

Screwball nie poruszała się przez długi czas.

Wszystkie wspomnienia zdawały się krążyć wokół niej jak stare, zgaszone bańki — blade echa śmiechu, który nie wracał. Ale był jeden sen, jedna iluzja, która jeszcze tliła się jasno.

Nie była snem iluzji.

Była snem pamięci.

Unosiła kopytko i dotknęła jego powierzchni.

Bańka zadrżała, ukazując obraz.

Dwie klaczki. Obok szkoły w Dolinie. Na granicy świata snu i jawy. Stały blisko siebie — jak kiedyś, gdy odważnie tworzyły spiralne zakłęcia, gdy walczyły z czarodziejami, gdy zamykały serca w bańkach iluzji, by ratować siostry.

Meluś. JellyDrop.

Screwball patrzyła na nie tak, jak nie patrzyła dawno.

Nie jak na uczennice.

Nie jak na narzędzia.

Ale jak na... córki. Może siostry. Może coś pomiędzy. Coś, co bolało i co dawało nadzieję jednocześnie.

Pamiętała ich lojalność.

Meluś, która stała za nią nawet wtedy, gdy lusterka zaczęły pękać.

Jelly, która tworzyła sny, choć sama ich nie rozumiała.

Obie wiedziały, że coś się kończy. A mimo to — zostały. Do ostatniego zaklęcia. Do ostatniego rytuału.

A teraz... były znów tam. Małe. Zwyczajne. Obok szkoły. W świecie, który kiedyś był tylko tłem ich marzeń. I znów — nie bały się patrzeć w niebo.

Screwball poczuła, że coś w niej drga.

Nie śmiech.

Nie chaos.

Nie rozkaz.

Tylko... decyzja.

Powoli odsunęła się od bańki. Jej spojrzenie zmieniło się. Już nie obserwowała. Nie ukrywała się.

Wstała. Cicho. Jakby od dawna czekała, aż będzie mogła zrobić ten pierwszy krok — bez Discorda, bez maski, bez planu.

Spojrzała jeszcze raz na miejsce, w którym były.

Szkoła.

Zawsze zaczyna się od szkoły.

— *Jeśli nadal chcą słuchać... spróbuję mówić inaczej.*

Ruszyła.

Galeria nie zatrzymała jej. Bańki nie pękły. Spiralne korytarze milczały — ale tym razem bez złości. Jakby mówiły:

Idź. Ale nie wracaj taka sama.

Tak zaczyna się nowy sen.

Ale nie dla niej.

Dla nich.

Rozdział 1 – Cień za szkołą

Liście tańczyły na wietrze.

Szkoła — ta sama, co zawsze — stała spokojnie, jakby nigdy nie widziała magii ani cieni. Dzień był jasny, słońce złociło dachy, a zapach jesiennych liści mieszał się z kredowym kurzem z klas.

Za budynkiem, po stronie, gdzie dzieci rzadko zaglądały, Meluś i JellyDrop siedziały na ciepłym piasku. Budowały coś — z patyków, z kamyków, może z wyobraźni. Ich głosy były ciche. Nie śmiały się głośno. Już nie.

Meluś spojrzała w stronę mgły, która o tej porze nie powinna być tak blisko. Chmurzyła się na granicy doliny, jakby zapomniała, że to dzień. Jakby coś... wracało.

– *Znowu ten sen*, szepnęła dzień wcześniej. *Z liśćmi, i głosem, którego nie ma.*

Jelly patrzyła teraz w to samo miejsce.

I wtedy — pojawiła się.

Z mgły wyszła klaczka. Nie większa od nich, o śliwkowych oczach, bez wirów. Jej fryzura wyglądała znajomo, ale mniej poskręcana niż dawniej. Jej krok był cichy, ale nie niepokojący.

Zatrzymała się kilka kopyt od nich.

Nie powiedziała chodźcie, nie wyciągnęła zaklęcia, nie rzuciła szeptu.

Tylko patrzyła.

A potem, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz na świecie, powiedziała:

– Chcecie się pobawić?

Cisza. Przez długą chwilę — tylko szum liści. Szkoła za nimi nie protestowała. Słońce nie przygasało. Nic się nie rozpadło.

JellyDrop poruszyła się pierwsza. Przyciągnęła do siebie kopytko Meluś.

Ale nie uciekła.

Meluś patrzyła długo. Serce biło jej szybciej, ale nie jak wtedy, gdy bała się o przeszłość. Raczej — jak wtedy, gdy miała coś wybrać.

Screwball nie ruszyła się z miejsca.

Nie narzucała się.

Nie szeptała iluzji.

Nie tworzyła luster.

Po prostu... czekała.

A dziewczynki — jeszcze nic nie mówiąc — nie odeszły.

INTERLUDIUM III – Zaproszenie, nie zaklęcie

Mgła już się rozproszyła. Szkoła została za nimi, tak samo jak wszystkie gwarne głosy, dzwonki, piaskowe podwórka. Teraz była tylko łąka — ta, gdzie wszystko kiedyś się zaczęło. Nie śniła już jak dawniej. Była zwyczajna.

A jednak, między trawami i szeptami liści, znów usiadły trzy klaczki.

Meluś, trochę większa, z rozwichrzonymi grzywkami jak pióra. JellyDrop, ze swoją maseczką przy boku, znów trzymającą się blisko. I ta trzecia — dawniej mistrzyni, teraz tylko cień z mgły. Screwball.

Nie rozmawiały od razu. Nie trzeba było.

Dopiero gdy wiatr przygładził ciszę, Screwball powiedziała:

– Możemy spróbować jeszcze raz. Ale tylko... jeśli chcecie.

Nie było w jej głosie iluzji. Ani śmiechu. Ani spiral.

Było... coś innego. Jakby ktoś nauczył się mówić na nowo.

– Nie jestem tu po to, by tworzyć was od nowa. Nie dziś. Nie w ten sposób. — Zamilkła na moment. — Ale jeśli nadal znacie to uczucie... jeśli pamiętacie, jak się to robiło... to może...

Jelly spojrzała na Meluś. Meluś milczała, jak zawsze wtedy, gdy coś w niej się ścierało. Ale Jelly... Jelly westchnęła. I wysunęła kopytko.

Z czubka jej kopyta uniosła się maleńka bańka.

W środku — światelko. Jak kiedyś. Jak projektor gwiazdek nad łóżeczkiem. Świeciło tylko przez chwilę, wirując prostą, dziecięcą tęczę. I zgasło.

Ale było prawdziwe.

Screwball... uśmiechnęła się. Nie z triumfu. Nie z planu. Tylko z czułości.

– Nasza mała siostra Jelly — powiedziała cicho — Serduszko z galaretki. Mięciutkie, ale sprężyste. Takie, które zawsze wstaje. Zawsze gotowe do działania.

Jelly nie odpowiedziała, ale przysunęła się do Meluś.

Screwball wzięła głębszy oddech.

– Wiem, że wtedy... — urwała.

— Nie widziałam. Nie zrozumiałam. Byłaś jeszcze za młoda, Jelly. Nie powinnam cię wtedy prowadzić tak daleko. Przepraszam.

Meluś uniosła głowę. Spojrzała jej prosto w oczy. I coś... drgnęło.

Słowa były inne. Ton — łagodny. Nawet spojrzenie... nie niosło już z sobą tego samego ciężaru.

Ale w sercu Meluś — była ostrożność. Uczucie niepewności, które nie znikало, nawet gdy brzmiało znajomo.

– Słyszę, że się zmieniłaś — powiedziała w końcu. — Ale to nie znaczy, że... ci ufam.

Screwball skinęła tylko głową. Bez urazy. Bez oczekiwania.

– Wiem. Dlatego to tylko zaproszenie.

I znów zapadła cisza.

Ale nie taka, która dzieli.

Taka, która czeka.

INTERLUDIUM IV – Przez Szybę

Dom był cichy. Za cichy, jak na późno—popołudniowe godziny. Zegar w kuchni nie chciał tykać, jakby sam czekał — zawieszony w powietrzu razem z jej oddechem.

Matka Melody podeszła do okna.

Na łące, tuż za szkołą, zobaczyła trzy sylwetki.

Dwie znała dobrze. Ich ruchy, ich ogonki, sposób, w jaki siedziały blisko siebie. Melody i JellyDrop — razem od zawsze, jak cienie jednej zabawy.

Ale ta trzecia...

Wysoka. Smukła. Z nieco przekrzywioną grzywką i oczami, które lśniły jak śliwki w ciemności. Oczy, których nie dało się pomylić. Nawet jeśli wszystko inne wydawało się zamglone.

Klacz uniosła kopyto, opierając je o szybę. Było zimne. Zimniejsze niż powinno.

Nie wiedziała, skąd zna tę postać. Ale serce... przyspieszyło.

Coś w niej krzyczało. Coś szeptało:

Zabierz ją. Zabierz Melody. Już raz ją zabrała.

Ale jednocześnie... nie mogła się ruszyć.

Za szkłem — trzy klaczki siedziały blisko siebie. Rozmawiały. I nic nie wskazywało na niebezpieczeństwo.

A jednak...

Czy to nie z tej samej łąki Melody wróciła pół roku temu – inna?

Zaczęła oddychać szybciej. Chciała zawołać. Wyjść. Ale nie zrobiła nic.

Wzrok tamtej klaczki — tej ze śliwkowymi oczami — uniósł się nagle. Spojrzała prosto w szybę. Prosto na nią.

Uśmiech. Delikatny. Nie szyderczy. Nie złowieszczy.

Tylko... znajomy.

Matka Melody cofnęła się, jakby oparzona. Serce waliło jak młotem. Usiadła na krześle i objęła głowę.

– To tylko sen — powiedziała szeptem. — To nie może być prawda. Przecież ona wróciła. Moja córeczka... wróciła.

Ale wiedziała. W głębi serca wiedziała, że pewne sny nie kończą się tylko dlatego, że ktoś się obudził.

Rozdział 2 – Utopia w miniaturze

Las był cichy, jakby sam wstrzymał oddech.

Screwball nie prowadziła ich przez mgłę, nie zaklinała przestrzeni. Po prostu szła — a one, z własnej woli, szły za nią. Ścieżka była zarośnięta, ale znajoma. Pachniała kwiatami sprzed pół roku. Tymi z pierwszego snu.

Domek był mały. Zbudowany z miękkiego drewna i porośnięty bluszczem. Nad drzwiami wisiała stara zasłonka z haftem w kształcie spirali — już wyblakła, prawie niewidoczna.

Wewnątrz było ciepło. Kominek mrugał delikatnym światłem, a filiżanki z herbatą parowały, jakby czekały od zawsze.

Ale to nie one przyciągnęły uwagę dziewczynek.

W kącie pokoju znajdowało się wejście do Galerii. Takiej, jaką pamiętały, ale mniejszej, jakby odbitej w dziecięcym rysunku. Spiralne korytarze były puste, bez szeptów. Bez echa śmiechu sióstr.

Jedna bańka. Tylko jedna.

Unosiła się nad ołtarzykiem z muszelek i rysunków.

JellyDrop podeszła pierwsza. Spojrzała i zamilkła.

W środku była ona. I Meluś. W śnie, który śniły kilka nocy temu — rozmowa, spojrzenia, pytania.

Meluś zamarła.

– To... nasze sny.

Screwball kiwnęła głową. Jej głos był łagodny.

– Obserwowałam. Ale nie dotykałam. Nie zmieniałam. Same przyszłyście, bo coś w was... nadal pamiętało.

Dziewczynki spojrzały na siebie.

– Już nie jestem posłańcem Ojca, – dodała Screwball. – Jestem sobą.

Poprowadziła je dalej — do sali, która niegdyś była sercem utopii. Teraz była pusta, złamana, ale nadal żywa.

To miejsce nie miało drzwi.

Nie miało też ścian w tradycyjnym sensie — tylko spirale. Każda część sali poruszała się własnym rytmem: podłoga falowała jak powierzchnia stawu, kolumny wirowały, jakby zrobiono je z żywej gumy, a sufit... nie istniał. Nad głowami kłaczek kręciło się niebo utkane z fioleatów, błysków i śmiechu — ale nie tego radosnego.

Tego, który zostaje pod skórą.

Screwball szła przodem, cicho. Jelly wyglądała jak zaczarowana, a Meluś...

Meluś milczała. Jej oczy błędziły.

Na końcu sali nadal było lustro. Ale rozbite. Spiralne linie nie łączyły się. Odbicia nie było.

Screwball podeszła do niego i powiedziała:

– To tutaj mnie złamał. Ojciec. To stąd dawał mi rozkazy. To było serce mojego posłuszeństwa.

Zatrzymała się. Nie wyciągnęła kopyta. Tylko patrzyła.

– Zniszczyłam to. Sama. Bo nie chcę być już cieniem.

Na dźwięk tych słów, coś przebłysło w oczach Meluś.

Wspomnienie. Obraz z przeszłości.

Ta sama sala. Ta sama Screwball. Ale wtedy lustro było całe. A jej głos... inny.

Dał mi życie. I cel. I moją pierwszą spiralę. Ale teraz... jestem czymś więcej.

Meluś zamknęła oczy. Uświadomiła sobie wtedy — z opóźnieniem — że tamtego dnia kłamała. Była tylko cieniem. I to kłamstwo bolało najbardziej.

Jelly spuściła wzrok. Nawet ona to poczuła.

– Nie musicie mi wierzyć – powiedziała Screwball. – Ale chcę, żebyście wiedziały, że już nigdy nie stanę między wami a prawdą.

Cisza była długa. Potem... Jelly, nieśmiało, wyciągnęła kopytko. Wytworzyła małą, świecącą bańkę. Iluzja jak z dzieciństwa — projektor gwiazdek, kręcący się nad sufitem. Pokój rozświetliły błyski, delikatne jak oddech.

– Wciąż pamiętam... – szepnęła. – Potrafię.

Screwball uśmiechnęła się — po raz pierwszy z prawdziwym smutkiem i czułością.

– Mała Jelly. Serduszko z galaretki. Miękkie, ale sprężyste. Zawsze gotowa, nawet gdy bolało.

Meluś słuchała w milczeniu. Coś w niej drżało, ale nie dało się tego jeszcze nazwać zaufaniem. Może... nostalgią?

Wróciły do domku.

Zostały na herbatkę.

Tylko tyle. Ale dla Screwball – to było wszystko.

INTERLUDIUM VI – Zanim zgaśnie herbata

Dom Meluś pachniał miodem i lawendą. Zawsze tak pachniał, kiedy wracała z zabawy, ale dziś... zapach wydawał się słabszy. Jakby coś w niej samej zgubiło ten zapach po drodze.

Szły z JellyDrop powoli. Słońce chyliło się ku zachodowi, zostawiając po sobie miękkie cienie na piasku. Ich kopytka zostawiały ślady — dwie linie, prowadzące z lasu do domu.

– Myślisz, że naprawdę się zmieniła? – zapytała Jelly, cicho.

– Nie wiem — odpowiedziała Meluś, patrząc na swoje odbicie w kałuży. – Ale... mówiła spokojnie. Nie rozkazywała.

Jelly uśmiechnęła się słabo.

– Zrobiłam bańkę. Jak dawniej. Taką malutką... wiesz, że prawie zapomniałam jak?

Meluś pokiwała głową. Ale nie odpowiedziała.

Zatrzymały się przed domem. Przez okno widać było ciepłe światło lampki. Ktoś poruszył się za firanką.

Drzwi otworzyły się zanim zdążyły zapukać.

W progu stała mama Meluś. Jej oczy były zaczerwienione, ale twarz — spokojna. Próbowwała się nie bać, ale bała się całym sercem.

– Gdzie byliście...? – zapytała. Głos jej drżał. – Bałam się, że... że znów...

Nie dokończyła.

Meluś podeszła i przytuliła się bez słowa. Mama objęła ją, mocno, jakby chciała ją zatrzymać na zawsze.

Jelly milczała. Wsunęła się do środka dopiero po chwili.

Usiadły przy stole, z kubkami herbaty, które już prawie wystygły.

– Zobaczyłyśmy ją — powiedziała Jelly. – Screwball.

Mama znieruchomiała.

– Nie zabrała was?

– Nie. Zaprosiła — powiedziała Meluś. – Tylko... zaprosiła.

Cisza.

– A wy? – głos matki był miękki, ale napięty. – Pójdziecie znówu?

Dziewczynki spojrzały po sobie.

Jelly spojrzała w dół.

– Nie wiem. To nie było tak, jak kiedyś. Nic nie błyszczało... Ale czuło się, że coś... czeka.

Meluś wpatrywała się w herbatę. Obraz w kubku był nieruchomy, jak lustro.

– Zapytała nas, czy pamiętamy. Pokazała miejsce, które... kiedyś było tylko kłamstwem. Teraz wyglądało jak ruina. Ale była tam. Sama. Bez Ojca.

Mama nie powiedziała nic.

Tylko otuliła córkę kocem, cicho, z troską, której Meluś nie próbowała już odsunąć.

– Nie wiem, czy wrócimy — powiedziała w końcu Meluś. – Ale... nie jestem już tą samą klaczką. Jeśli pójdę... to nie po śmiech. Tylko po prawdę.

Mama nie zrozumiała wszystkiego. Ale zrozumiała jedno.

Jej córka wróciła.

Jeszcze nie cała. Jeszcze nie gotowa. Ale wróciła.

A herbata... choć zimna, nie była już samotna.

Rozdział 3 – Bańka bez zakłęb

Poranek był cichy, niemal zbyt cichy. Tylko skrzypienie krzeselka i stuk srebrnej łyżeczki o filiżankę przerywały tę zwyczajność. Melody siedziała przy stole, z mamą naprzeciwko. Jadła owsiankę z malinami — ciepłą, miękką, znajomą.

Ale wtedy...

Coś się poruszyło — nie w domu, lecz w niej.

Delikatne ciepło, rozlewające się od serca. Nie sen, nie wizja. Emocja. Znajoma nuta, która kiedyś prowadziła ją przez mgły, przez śmiech, przez świat, który był utopią i więzieniem.

Zaproszenie.

Nie wypowiedziane słowami, lecz szeptem od środka.

JellyDrop pojawiła się kilka minut później, zupełnie tak, jakby ją również coś przyciągnęło.

– Czułam to też. – powiedziała, zanim zdążyły się przywitać. – Tak jak kiedyś. W środku. Ale bez przymusu.

Mama spojrzała na nie z troską, ale nie zatrzymała.

– Tylko wróćcie przed zachodem — powiedziała cicho.

Domek w lesie był taki sam, jak w poprzednim śnie — tylko mniej mglisty. Prawdziwszy. Cień liści tańczył na ścianach, a zapach drewna mieszał się z czymś subtelnym... lawendą? Miodem?

Screwball czekała w środku.

Nie za drzwiami. Nie w iluzji. Po prostu — w pokoju. Bez teatralnego wejścia.

– Dziękuję, że przyszłyście — powiedziała. – Tym razem... nie chcę was prowadzić. Chcę, żebyście pokazały mi, co jeszcze pamiętacie.

Uniosła lekko kopytko. W powietrzu zawisła bańka — ale nie dla nich. Nie otaczała, nie pętała. To była jej własna iluzja — demonstracja. Bańka odbijała wspomnienia dawnych dni: śmiechy, karuzele, galaretki, spiralne niebo. Skrzydła z wirów.

Potem zgasła.

Screwball opuściła kopytko.

– Teraz wy.

JellyDrop zamknęła oczy. Jej kopytko zadrżało. Przez chwilę nic się nie działo, a potem... pojawił się cień małego domku. Składał się z wiśniowych świateł i błyszczących ścian, krzywych jak dziecięcy rysunek.

– To był nasz domek, pamiętasz? – wyszeptała do Meluś.

Melody nie odpowiedziała od razu. Patrzyła na cień. Na Screwball. Na Jelly.

– Nie chcę niczego, co będzie bolało — powiedziała cicho.

Cisza.

Screwball nie odpowiedziała. Nie uśmiechnęła się. Nie przekonywała.

Tylko pokiwała głową — ze zrozumieniem.

Po raz pierwszy... naprawdę szanując odpowiedź.

Dziewczynki zostały jeszcze chwilę. Nie było więcej zakłęb. Nie było nakazów.

Tylko światło, cisza i trzy serca, które pamiętały — każde inaczej.

Rozdział 4 – Gdy klaczka śpi

Noc w domku była cicha. Zbyt cicha.

Gdzieś w oddali świerszcze cicho cykały, a wiatr poruszał listkami na zewnątrz. Wewnątrz — tylko oddechy. JellyDrop spała zwinięta na poduszce z miękkiego mchu, mrucząc coś przez sen.

Ale Melody nie spała.

Coś ją obudziło. Może skrzypienie. Może chłód. A może... cichy szloch.

Wstała. Po cichu przeszła przez wąski korytarz domku, aż zobaczyła uchylone drzwi.

Za nimi... Screwball, siedząca samotnie przy starym lusterku.

Nie śmiała się. Nie zakładała maseczki. Patrzyła w taflę z dziwnym smutkiem, który nie był ani dziecięcy, ani dorosły. Odbicie — złowieszcze, znajome — pokazywało ją z dawnych lat. Z czasów Galerii. Z wirującymi oczami, z uśmiechem szerokim jak sztuczna radość.

Screwball mówiła do siebie.

– Kiedyś... byłam wszystkim dla was. Śmiechem. Bezpiecznym snem. Opieką. Kolorem. Iluzją.

Odetchnęła.

– Ale nie potrafiłam być sobą.

Meluś nie powiedziała nic. Tylko weszła. I usiadła przy niej, milcząco. Jakby samą obecnością mówiła: *Słyszę cię. Ale nie wiem jeszcze, czy ci wierzę.*

Przez chwilę tylko patrzyły. W odbicie. W siebie.

Potem Meluś podniosła głowę. Coś w niej znów się poruszyło.

– Miałśmy wrócić przed nocą.

Screwball skinęła. Jej spojrzenie nie było ani błaganiem, ani rozkazem.

– Wiem. Ale zanim odejdiesz... jeśli chcesz... możesz jeszcze raz zajrzeć do snu swojej mamy. Galeria wciąż pamięta jej drogę.

Screwball zadrżała cicho. Z półki zdjęła małą maseczkę — tą samą, którą Meluś nosiła, kiedy była jeszcze klaczką chaosu. Różowa, lekka, ze wzorem śmiejących się serduszek

— Zostawiłaś ją tutaj. Wtedy, gdy powiedziałaś, że nie chcesz już niczego, co boli.

Podawała maseczkę delikatnie, jakby oddawała wspomnienie.

– Jeśli zdecydujesz się jej użyć... możesz odwiedzić sen mamy jako Meluś. Taka, jaką wtedy byłaś. Bez bólu. Bez pamięci.

Zamilkła.

– Ale możesz też wejść jako ty. Bez maseczki. Z całą sobą. Z pytaniami. Z sercem, które nie jest już bańką.

Melody patrzyła na maseczkę długo. W kopytkach była lekka, ale wspomnienia... ciążyły.

Nie powiedziała jeszcze, co zrobi.

Ale spojrzała na Screwball inaczej. Nie z ufnością. Z wyborem.

I z decyzją, która dopiero się rodziła.

INTERLUDIUM VII – Cicho w Sercu Mamy

Dom w dolinie spał.

W kuchni zostawiono dwie filiżanki ziołowej herbatki, jeszcze lekko ciepłe. W pokoju Melody – łóżko było puste. Tylko kocik z kropkami zwiślał na bok, jakby klaczka wstała zbyt nagle, by go poprawić. I rzeczywiście – nie było jej tam tej nocy.

Ale mama już nie szukała. Nie biegła. Nie wołała po oknach.

Bo śniła.

Nie głęboko. Nie ciężko. To był ten sen, który zna każda matka – pół—pamięć, pół—lęk. Taki, który woła nie słowami, lecz sercem. I wtedy...

...pojawiała się bańka.

Cieniutka, delikatna, jak oddech źrebięcia. Popłynęła nad poduszką, nad snem. A w niej — światło. Nie oślepiające. Ciepłe. I głos, cichy jak szelest kopyt na łące:

– *Mamusiu. Nie wróćę dziś. Ale jestem bezpieczna.*

Obok niej — druga klaczka. Śmiejąca się szeptem, tuląca galaretową poduszkę. JellyDrop też śniła. I również była w tej bańce. Obie trzymały się za kopytka.

A trzecia postać — starsza, większa — nie mówiła nic. Stała z tyłu. Z lekko spuszczoną głową. Patrzyła... z odległości. Jakby wiedziała, że nie może się zbliżyć. Jeszcze nie.

Ale to spojrzenie... nie było złe. Nie było groźne.

Tylko tęskniące.

I wtedy mama westchnęła przez sen. Jej ramiona rozluźniły się. Kącik ust poruszył się, jakby właśnie została objęta przez coś, czego tak bardzo potrzebowała.

Melody, na granicy snu, bez maseczki, bez spirali, tylko z samą sobą — uśmiechnęła się cicho.

W kopytku wciąż trzymała starą maseczkę. Nie włożyła jej. Nie musiała. Ale zabrała ją ze sobą. Tak jak zabiera się wspomnienie dzieciństwa, kiedy nie trzeba się już w nie chować, ale można... po prostu je mieć.

Bańka powoli zgasła. Ślad na poduszce pozostał jeszcze przez chwilę.

A sen mamy był tej nocy spokojny.

INTERLUDIUM – Kolor Światła

Wnętrze Galerii było inne niż dawniej.

Nie śmiało się już tysiącem głosów. Nie pulsowało dziką radością. Nie przyzywało. Teraz... oddychało. Cicho. Równomiernie. Jak sen, który się nie spieszy.

Wokół unosiły się bańki — nie te stworzone przez zaklęcia, lecz przez pamięć. W środku każdej — cieniutki obrazek: śpiące źrebię, oddech matki, piaskowe pole w popołudniowym słońcu. Sny kucyków z doliny. Nic więcej. Żadnych pułapek. Żadnych masek.

Screwball stała pośrodku. Sama. Lecz... niezupełnie.

Melody, nieco w tyle, patrzyła na bańki z lekkim wahaniem. Głowę trzymała nisko, jakby szukała w sobie decyzji, której jeszcze nie umiała nazwać.

Screwball spojrzała na nią — z uśmiechem, który nie próbował prowadzić, tylko zapraszał.

– *Co by zrobiła dawna Meluś?* – zapytała miękko. – *Ta, która jeszcze śniła... wśród swoich?*

Melody nie odpowiedziała od razu. W spojrzeniu miała więcej ciszy niż słów.

– *A może...* – Screwball przechyliła głowę – *...zrobimy to razem?*

Wtedy JellyDrop podeszła. Bez słowa. Po prostu... stanęła obok. Jakby jej serduszko z galaretki zawsze wiedziało, gdzie być. Oczka błyszczały odbiciem baniek – malinowym, miękkim światłem, takim jak kiedyś, gdy dopiero uczyły się szeptać zaklęcia.

Screwball spojrzała na nie obie. I znów się uśmiechnęła — inaczej niż dawniej. Ciepłej. Prościej. Wolniej.

– *Wasze oczy...* – powiedziała — *...były kiedyś znakiem. Znakiem, że należymy do siebie. Siostrzany symbol. Dziedzictwo spirali.*

Zamilkła na moment. Długość tego milczenia była pełna pozwolenia.

– *Ale teraz... możecie wybrać. Zachować swoje oczy, takie jak je odzyskałyście... albo przyjąć z powrotem te śliwkowe. Nie dla mnie. Nie dla Ojca. Dla siebie. Jako znak, że jesteście gotowe zaufać tej drodze. Nowej drodze. Nie musi być taka sama.*

Nie podeszła bliżej. Nie wskazała kopytkiem. Nie rzuciła zaklęcia.

Tylko patrzyła.

Jak dawna mistrzyni, która zrozumiała w końcu, że nie prowadzi się przez rozkaz. Tylko przez obecność.

W jednej z baniek zamigotał obraz — mały cień domku z liści, rysowany kiedyś przez Jelly. Melody dotknęła go spojrzeniem. Ale nie ruchem. Jeszcze nie.

Screwball nie naciskała.

Bo ten wybór — musiał należeć do nich.

Rozdział 5 – Zaproszenie

Domek w lesie był cichy tego ranka. Zbyt cichy. Nawet herbatka, zwykle parująca z zaczarowanego dzbanka, zdawała się krążyć w powietrzu wolniej, jakby świat się zatrzymał na chwilę oczekiwania.

Meluś i Jelly siedziały przy stole. Przed nimi — porcelanowe filiżanki, ich własne, sprzed lat, odkopane gdzieś z pamięci Galerii. Za oknem poruszały się liście, niesione niemal niedostrzegalnym wiatrem. Screwball nie mówiła nic. Tylko uśmiechała się lekko. Jakby wiedziała, że czas sam przyniesie odpowiedź.

I wtedy... zapukała.

Drzwi otworzyły się niemal bez dźwięku, a w progu stanęła klaczka o złoto—rudej grzywie i bursztynowej sierści. Jej spojrzenie było czyste, pewne. W oczach błyszczało coś znajomego — ale też coś nowego. To była Amber Lake. Jedna z dawnych sióstr. Tych, które śniły z nimi... aż do końca.

JellyDrop zamarła, a Meluś nie mogła powstrzymać odruchowego cofnięcia głowy. Ale Amber tylko się uśmiechnęła.

– *Mogę...?* – zapytała cicho, wskazując stół.

Screwball kiwnęła głową. Bez iluzji, bez zakłęcia. Tylko z zaproszeniem. Klaczka usiadła i upiła łyk herbatki. Potem — spokojnie zdjęła swoją mimikrę. Odsunęła maskę śmiechu.

I wtedy ich serca zadrżały.

Nie dlatego, że zmieniła kształt.

Ale dlatego, że jej oczy... nie były już pomarańczowe.

Patrzyły na nie z głębi fioletu — głębokiego, jak śliwka w świetle zmierzchu.

– *Ja też się bałam.* – wyszeptała Amber. – *Ale Screwball... nie jest już taka jak dawniej. Przestała udawać. I może... może my też możemy.*

Galeria była pusta, jakby oddychała wspomnieniem.

Bańki unosiły się leniwie w powietrzu, delikatne, migotliwe. Meluś знаła każdą z nich z dawnych czasów — ale dziś wydawały się... inne. Lżejsze? Bardziej przezrocyste?

Amber podeszła do jednej z baniek i przystanęła. Szepnęła do niej cicho, a obrazek wewnątrz rozjaśnił się: była tam mała klaczka z dwoma grubymi warkoczykami, skulona w kącie łóżka. Oczy miała zaczerwienione, policzki – mokre od łez. Obok niej majaczył cień — złośliwy śmiech ogierka ze szkoły. Głos, który powtarzał obelgi. Głos, który bolał.

Amber nie rzuciła zakłęcia. Nie przykryła dziewczynki iluzją. Nie uciszyła snu. Tylko... weszła.

Gdy wróciła, coś w niej było inne. Ciepłe. Miękkie. A jej głos — łagodny, gdy tłumaczyła:

– *Tylko zapytałam, czy mogę jej coś pokazać. Dałam jej wybór.*

W kopytkach trzymała swoją maskę. Pomarańczową. Przypięła ją dziewczynce, by spróbowała sama. A potem... wspólnie zatańczyły. Stary spektakl, pełen śmiechu i wirujących baniek. Ale tym razem — bez iluzji. Bez ukrywania bólu. Tylko z próbą pokazania, że świat może być inny.

Dziewczynka śniła dalej. Spokojnie. Bez zmiany. Ale z uśmiechem.

Screwball patrzyła w milczeniu. A potem powiedziała:

– Utopia może istnieć. Nie taka, którą narzucamy. Ale taka, którą razem budujemy. Powoli. Z pytaniami. I odpowiedziami, jeśli przyjdą. Na nowych Warunkach...

Meluś... pierwszy raz poczuła, że może... chcieć spróbować.

Ale wtedy...

– Na nowych warunkach?

Głos rozciął ciszę jak cienki nożyk. Pojawił się nagle. Z boku. Z przeszłości.

W wejściu do Galerii stała Angel Shore — biała jak kreda, z grzywą zaczesaną w dwa idealne pasma. Spojrzała chłodno. Nie na Amber. Nie na Screwball. Tylko na Jelly i Meluś.

– Wybaczcie, ale ja wolę dawne metody. Ukojenie poprzez zapomnienie... nie jest złem.

Jej głos był lodowaty, ale nie złośliwy. Raczej — przekonany. Pewny. Meluś poczuła ciarki. Jakby znów stała w tamtej spirali. Tam, gdzie śmiech był przymusem. Gdzie każdy sen miał cel.

Screwball nie sprzeciwiła się. Tylko skinęła głową.

– To twój wybór, Angel. Ale pozwól innym mieć swój.

Angel nie odpowiedziała. Zsunęła z szyi maskę iluzji. Jedną z tych starych, z czasów, gdy wszystko było pod kontrolą. Gdy prawda nie miała miejsca.

Meluś zamarła. Widziała siebie w tamtej kłaczce. Tę samą minę. Ten sam gest. To samo zacięcie.

Angel weszła w bańkę.

Tym razem nie zapytała. Nie rozmawiała. Nie pokazała swojej maski — tylko ją założyła. A potem... zaczęła spektakl. Piękny. Idealny. Błyszczący. Ale pusty.

Gdy wróciła, dziewczynka w środku spała spokojnie. Ale coś w jej uśmiechu było nienaturalne. Jakby... za szerokie.

Screwball nie skomentowała.

Bo nie musiała.

Meluś zadrżała.

I choć nie powiedziała jeszcze nic, coś w niej zaczęło się budzić.

Nie chodziło o to, co się wydarzyło.

Ale o to, że tym razem... mogła wybrać.

INTERLUDIUM VIII – Refleksja Meluś

Gdy światło bańki zgasło, a echo iluzji Angel ucichło, Galeria zapadła w ciszę. Tylko skrzypienie desek pod kopytkami i miękkie drżenie światła pozostały, jakby samo miejsce... też próbowało oddychać inaczej.

Meluś stała z boku, w cieniu. Nie wchodziła bliżej. Nie odezwała się, kiedy Amber się uśmiechnęła. Nie poruszyła się, gdy Angel przeszła obok.

Wpatrywała się w taflę najbliższego lustra.

Nie była to bańka snu — tylko zwykłe, choć nieco zakurzone lustro, zawieszone na jednej z kolumn. Odbijało ją — starszą niż kiedyś, ale nadal małą. I w tym odbiciu, przez moment, zobaczyła kogoś jeszcze.

Siebie. Sprzed miesiący. Sprzed wszystkiego.

Tamtą, która śmiała się głośno, bo tak kazano. Która tworzyła sztuczki, by zadowolić swoją mistrzynię. Tamtą, która oddała serce i otrzymała w zamian... cień rozczarowania.

Teraz, choć lustro było to samo, jej oczy patrzyły inaczej.

Nie dały się już zaczarować.

Nie chciały nienawiści.

Ale nie potrafiły jeszcze zaufać.

Czuła, że Screwball się zmieniła. Słyszała to w jej głosie. Widziała w jej spojrzeniu. Ale zmiana... to nie wszystko. Przemiana bez odpowiedzialności była tylko kolejną spiralą.

Nie wystarczy powiedzieć, że się zmieniło. – pomyślała Meluś. Trzeba jeszcze przyznać, co się zrobiło. I przestać oczekiwać, że inni natychmiast znów się zakochają.

Jej serce biło spokojnie, lecz głęboko. Gdzieś w nim, daleko, była iskierka.

Ale jeszcze nie płomień.

INTERLUDIUM IX – Rozmowa Sióstr

Gdy wyszły z Galerii, las był już miękki od wieczornego światła. Pachniało mchem i odrobiną magii — tej delikatnej, niedopowiedzianej, która zostaje w powietrzu po czymś ważnym.

Amber szła pierwsza, lekko podskakując. Jej grzywa błyszczała pomarańczowymi refleksami, a **śliwkowe oczy** wyglądały, jakby w końcu znały drogę. Zatrzymała się przy niskim murku i uśmiechnęła się do pozostałych.

– To naprawdę może działać. Widzicie? Ona się stara. Tak bardzo się stara...

Angel szła wolniej, bokiem. Jej śliwkowe spojrzenie było ostre, jakby zbyt długo nosiła stare maski, by tak łatwo je zdjąć.

– *Stara się. Ale nadal nie rozumie, że niektóre rany lepiej zakryć. Śmiech jest łatwiejszy niż prawda.*

JellyDrop kręciła się między nimi, jak mały wir ciekawości. Jej oczy lśniły w zachodzącym słońcu. Raz spoglądała na Amber, raz na Angel, jakby próbując połączyć obie odpowiedzi w coś własnego.

– *Ale może... może są różne drogi. Tyle, że tym razem to my wybieramy, prawda?* – zapytała cicho, z odrobiną nadziei.

Jej spojrzenie padło na Meluś.

Meluś milczała.

Stała lekko z tyłu, jakby oddzielona przez niewidzialną ścianę. Jej spojrzenie było zamyślane, zamknięte. Nie wrogo. Po prostu — ostrożne. Zbyt wiele razy coś błyszczało pięknie, by potem okazać się złudzeniem.

W końcu odezwała się, bardzo cicho:

– *Zmienione oczy... nie są jeszcze dowodem na nowe serce.*

Jelly zamarła na moment. Ale potem, nie odchodząc, podeszła bliżej Meluś i dotknęła lekko jej boku. Nie naciskała. Nie nalegała.

Tylko była.

Tak samo, jak kiedyś — zanim wszystko się rozpadło.

A może... zanim dopiero miało się złożyć na nowo.

Rozdział 6 – Lusterko od nowa

Galeria była pusta. Ale nie martwa.

Dziewczynki szły powoli, między lustrami, które nie odbijały już starych wspomnień, lecz czekały. Jakby szkło również mogło być cierpliwe — jakby wreszcie miało prawo niczego nie narzucać.

Screwball szła przed nimi, lecz nie prowadziła. Jej krok był równy z ich. A spojrzenie — miękkie, skupione. Coś się w niej zmieniło. Mimo tego samego wirującego spojrzenia, tej samej grzywy, w której czasem można było się zgubić — była inna.

W głębi Galerii, przy jednym z podestów, czekało coś nowego.

Nie lustro.

Lusterko.

Malutkie, okrągłe, z ramką przypominającą kształtem dawne bańki snu. Leżało na aksamitnej poduszce, obok białej kredy i kawałka sznurka.

– *To wasze.* – powiedziała Screwball cicho. – *Nie stworzyłam tego. Nie zaprogramowałam. Nie będzie odbijać niczego, dopóki wy nie zdecydujecie, co chcecie w nim zobaczyć.*

Amber Lake podeszła pierwsza. Bez słowa, lekko dotknęła lusterka. W jego powierzchni zamigotała przez chwilę scena — śmiejące się kucyki w teatrzyku, pokazywanie sztuczek. Ale tylko przez chwilę.

Amber cofnęła kopytko.

– *Może... jeszcze nie teraz.*

JellyDrop uśmiechnęła się cicho i wskoczyła bliżej. – *A jeśli chcę... przypomnieć komuś, że nie jest sam?*

– *Wtedy możesz to zrobić. Ale wybór należy do ciebie.* – odpowiedziała Screwball, z niemal matczyną łagodnością.

Jelly zamknęła oczy i dotknęła lusterka. Z powierzchni popłynęła drobna iluzja — namiot z girlandami, kopytka tańczące wśród konfetti, śmiech. Nic trwałego. Nic narzuconego.

Meluś nie podeszła.

Stała w miejscu.

– *To nadal iluzja.* – powiedziała. – *Nawet jeśli pozwalasz nam ją wybrać.*

Screwball spojrzała na nią poważnie.

– *Tak. Ale to już nie iluzja, którą zakładam na kogoś. To... coś, co mogę dać. Jak zabawkę. A każdy sam decyduje, czy jej chce.*

– *Nie możesz mówić, że oddałaś odpowiedzialność, jeśli dalej oglądasz wszystko z ukrycia.*

Głos Meluś był ostry. Ale nie zły. Po prostu — prawdziwy.

Screwball zamarła.

Jej spojrzenie pociemniało na ułamek sekundy.

A potem... kiwnęła głową.

– *Masz rację.* – przyznała. – *Widziałam waszą rozmowę. Nie z ciekawości. Ze strachu. Tak bardzo chciałam wiedzieć, czy was nie straciłam... że nie zapytałam.*

Zapadła cisza.

Meluś patrzyła na nią długo. Nie z nienawiścią. Ale też bez pobażania.

W końcu podeszła.

Nie dotknęła lusterka.

Ale powiedziała:

– *Jeśli naprawdę się zmieniłaś... to musisz umieć nie patrzeć.*

Screwball zamknęła oczy.

– *Dobrze.* – powiedziała. – *Zacznę od teraz.*

I cofnęła się o dwa kroki.

Nie zniknęła. Nie uciekła. Ale dała przestrzeń.

Jelly spojrzała na Meluś, potem na Amber, i wyszeptała:

– *To... jest inne, prawda?*

Meluś kiwnęła głową. Tylko raz.

Iluzja nie była już pułapką.

Ale wybór...

...i odpowiedzialność.

INTERLUDIUM X – Niepatrzenie

Screwball siedziała sama.

Po raz pierwszy od dawna naprawdę sama — nie dlatego, że ją zostawiono, ale dlatego, że sama się cofnęła. Dała przestrzeń. Nie wyciągnęła spirali, nie nasunęła maski. Po prostu — pozwoliła odejść.

To bolało bardziej, niż myślała.

Choć przecież przez tyle lat była mistrzynią kontrolowania... wszystkiego.

Siedziała w najstarszej części Galerii, tam, gdzie kiedyś ściany lśniły od dziecięcego śmiechu, a bańki unosiły się jak świetliki — pełne marzeń, które tylko ona potrafiła urzeczywistnić. Tak mówiły. Tak wierzyły. Tak... ufały.

A ona?

Zamknęła oczy.

Nie patrzyła.

Tak jak prosiła Meluś.

W tej ciszy, która nastała, nie było chaosu. Ani rozkazów Ojca. Ani nawet jego głosu. Bo to, co kiedyś nazywała posłuszeństwem, dawno obróciło się w pustkę. Zdradziła tamte dzieci, nie tylko przez to, że wykonywała wolę Discorda.

Zdradziła je, bo nie powiedziała prawdy, kiedy prosiły o światło.

Zdradziła, bo bała się, że bez jego planu, nie ma nic do dania.

Ale teraz...

Otworzyła oczy.

W oddali, za warstwą snów, widziała jak Jelly i Meluś siedzą przy lusterku, rozmawiają, czekają. Zostawiły je. Może na chwilę, może na zawsze. Ale same.

Nie oglądała ich więcej. Nie śledziła.

Odwróciła wzrok.

I wtedy zrozumiała — na tym polega niepatrzenie. Na zaufaniu, nie na nadzorze.

Jej wzrok spoczął na jednej z pustych baniek snu — tej, w której kiedyś rodziły się pierwsze obrazy utopii. W środku nie było nic. Tylko przestrzeń. Tylko cisza. Tylko możliwość.

Uśmiechnęła się słabo.

Nie była już tą, która wiedziała najlepiej.

Nie była tą, która wie wszystko.

Była tylko tą, która pamięta.

Która przeszła przez śmiech, przez kłamstwo, przez wierność — i zgubiła siebie po drodze.

Ale może... w tej nowej wersji utopii, właśnie to było potrzebne.

Nie wszechwiedza.

Tylko obecność.

Bez iluzji. Bez przymusu. Bez układów.

– *Widzisz, Tatusiu...* – powiedziała cicho, patrząc w martwe, rozbite lustro pośrodku sali. – *Zbuduję ten świat jeszcze raz. Ale już nie twój. I jeśli one nie zechcą w nim być... to nie będę już ich ciągnąć. Tylko poczekam. Aż wybiorą.*

I zamknęła oczy raz jeszcze.

Tym razem nie po to, by się ukryć.

Ale by dać im czas.

INTERLUDIUM XI – Dlatego Wróciłam

Amber Lake siedziała na werandzie domku, który już nie był twierdzą.

Był... schronieniem. Tymczasowym. Może złudnym. Ale ciepłym.

Wokół pachniało igliwem i wieczorną mgłą. Słońce zachodziło powoli, jakby i ono nie miało pewności, czy powinno dziś znów zgasnąć.

Niebo nad Galerią nie było już spiralne.

Nie było sztuczne.

I może dlatego Amber właśnie teraz czuła, że musi to sobie powiedzieć.

Nie na głos. Nikt nie musiał słyszeć.

Tylko sobie.

Dlaczego wróciłam?

Nie dlatego, że nie pamiętała. Nie dlatego, że była słaba. Nie dlatego, że chciała znów czuć się wyjątkowa.

Wróciła, bo coś w niej nie zgasło.

Coś, co nie miało nic wspólnego z rozkazami Discorda ani z cudownym teatrem iluzji. Nie z tytułami starszej siostry, ani z zachwytem innych dzieci, które patrzyły na nią jak na kogoś niezwykłego.

Wróciła, bo zobaczyła, jak Screwball płakała.

Nie publicznie. Nie w wielkiej scenie. Nie jako mistrzyni chaosu.

Ale samotnie. Po wszystkim. W miejscu, gdzie nie było już nikogo.

I wtedy Amber zrozumiała coś, czego wcześniej nie pojmowała:

Ten świat nigdy nie był doskonały. Ale nie musiał być zbudowany na kłamstwie.

Zaparzyła sobie herbatę. Tak, jak robiły to kiedyś. Gdy jeszcze się śmiały. Gdy udawały rodzinę.

Bo dla niej... przez chwilę, to naprawdę *była* rodzina.

I może teraz, kiedy wszystko pękło, kiedy Spiralne Królestwo nie istnieje, a siostry muszą same decydować, można spróbować jeszcze raz. Ale bez masek. Bez iluzji. Bez obowiązku.

Tylko dlatego, że się *chce*.

Amber wzięła kubek w kopytka i spojrzała w dal. W stronę doliny. W stronę szkoły. W stronę dzieci, które może kiedyś znów nauczą się marzyć.

Nie przez zapomnienie.

Nie przez grę.

Tylko przez dotyk.

Przez obecność.

– Dlatego wróciłam – powiedziała cicho.

I została.

INTERLUDIUM XII – Milczenie, które koi

Angel Shore lubiła ciszę. Nie pustą — nie taką, która bolała w piersi jak lód — ale tę miękką, szczelnie otuloną ciszę baniek.

Tam, gdzie nie trzeba było mówić.

Tam, gdzie sen robił to za ciebie.

Stała w sali galerii, samotna, chociaż wśród setek snów. Każda bańka cicho pulsowała. Były jak oddechy dzieci, które znów mogły się śmiać. Może nie naprawdę. Może nie po prawdzie. Ale przecież... czy to nie wystarczało?

W świecie pełnym bólu, czy *szczęśliwe kłamstwo* nie było lepsze od bolesnej prawdy?

Angel spojrzała w jedną z baniek. Dziewczynka z zaciśniętymi kopytkami. Łzy. Słowa matki, których nie chciała słyszeć. Warkoczyki, z których śmiał się ten przeklęty ogier w szkole. Płacz pod kocem.

Angel nie wchodziła do takich snów po to, by *rozmawiać*. Nie próbowała uzdrawiać przez konfrontację.

Ona *czyściła*.

Zdejmowała warstwy bólu, jakby to były stare bandaże. I zostawiała tylko ciepło.

To robiła i tym była.

I była z tego dumna.

Choć Screwball już się nie uśmiechała do niej tak samo. Choć Meluś patrzyła z chłodnym dystansem. Choć Amber mówiła o nowej drodze i świadomym wyborze.

Angel wiedziała, co robi. I nie potrzebowała aprobaty.

Spojrzała na własne odbicie w jednej z baniek. Jej śliwkowe oczy błyszcząły spokojem. Maski leżała obok — nie na jej twarzy, ale blisko. Gotowa, jeśli będzie trzeba.

Bo jeśli przyjdzie kolejne dziecko...

...to ona nadal będzie tam, by je ukołysać.

Może nie jako siostra.

Ale jako ostatnia strażniczka snu, który koi.

Zapomnienie to nie kłamstwo. To nie zdrada.

To miłosierdzie.

Amber mówiła o prawdzie. O nowej utopii. O herbatce bez masek. Ale Angel pamiętała, jak to było wtedy, gdy jeszcze nikt nie musiał decydować.

Gdy wszystko było proste.

Gdy Screwball śmiała się i mówiła: *Już nie płaczesz? To dobrze. Teraz śnij.*

Angel chciała znów śnić. I chciała, by inne dzieci też śniły.

Bez ran. Bez wspomnień. Bez rozdrapywania blizn.

Bo prawda była taka:

Nie wszystkie dzieci chciały pamiętać.

I nie wszystkie miały komu powiedzieć, że coś je boli.

Ona — mogła być ich lustrem. Ich snem. Ich ramieniem do wtulenia.

Nie przez rozmowę.

Przez sztukę. Przez iluzję.

Zakładając масечkę, Angel nie czuła się mniej sobą.

Wręcz przeciwnie.

Tylko wtedy czuła się sobą naprawdę.

I może Screwball już nie dowodziła, nie nakazywała, nie kłamała... Ale to nie znaczyło, że świat musi boleć.

– Wybacz, Amber – szepnęła. – Ale ja wciąż wierzę w nasze metody.

I znów weszła do bańki.

INTERLUDIUM XIII – Serduszko z Galaretki

JellyDrop spała przytulona do własnych skrzydełek, ale nie spała do końca.

W środku niej coś tańczyło. Coś drobnego, jak płatek waty. Albo bańka.

Nie знаła słów na to uczucie.

To było trochę jak wtedy, gdy Meluś po raz pierwszy przywołała gwiazdkowy projektor. Trochę jak ten sen, w którym ich dawna Galeria zbudowana była z czekolady i pluszu. Ale też trochę jak pierwszy raz, gdy Screwball powiedziała jej, że jest wyjątkowa.

A teraz... wszystko było inne.

Amber nie użyła zaklęć. Angel – tak.

Screwball – niczego nie kazała.

I właśnie dlatego Jelly poczuła, że chce zrobić coś sama. Nie dla utopii. Nie dla Ojca. Nawet nie dla Screwball.

Dla siebie. I dla tych dzieci, które śnią i płaczą, tak jak kiedyś ona.

Jeśli nowy świat ma powstać, to nie może być zbudowany z rozkazów. Ani z wyrzeczeń. Ani ze wstydu, że było się słabą.

Jelly spojrzała na swoją maseczkę, którą trzymała zawsze w szafce.

Nie założy jej dziś.

Nie dlatego, że nie chce. Ale dlatego, że najpierw zapyta dziewczynkę w bańce:

– A ty? Ty chcesz się bawić?

INTERLUDIUM XIV – Światło w spirali

Meluś leżała na trawie, patrząc w górę.

Nad nią – banieczki snów.

Obok – dom, który był prawie taki jak dawniej.

W sercu – niepokój.

Bo nawet jeśli Screwball się zmieniła, nawet jeśli Galeria była teraz otwarta, nawet jeśli dziewczynki miały wybór...

To pęknięcie pozostało.

Meluś nie chciała zemsty. Nie chciała też ucieczki. Ale nie potrafiła już ufać tak łatwo.

Zbyt długo była narzędziem.

Zbyt długo śniła nie swoje sny.

Zbyt długo śmiała się wtedy, gdy powinna była płakać.

I choć Jelly promieniała entuzjazmem, a Amber szeptała do snów dzieci z czułością, Meluś nadal nosiła w sobie pytanie:

Czy mogę być sobą w miejscu, które mnie ukształtowało... jako kogoś innego?

Bo to nie Screwball musi być inna.

To ona sama musi nauczyć się nie bać własnego imienia.

Jeszcze nie wie, jak się to robi.

Ale wie jedno:

Nie chce kłamać.

A jeśli coś nowego ma się zacząć... musi być prawdziwe.

INTERLUDIUM XV – Jeszcze Nie Śpię

Dziewczynka leżała pod kołdrą, z głową schowaną w poduszkę.

Nie płakała. Już nie.

Jej oczy były suche, ale od środka wszystko bolało, jakby miała w sobie pełno igiełek, które nie potrafiły wyjść. Mama dziś znów się spieszyła. Tata nawet nie zapytał, jak minął dzień. A w szkole... w szkole było gorzej.

Ogierek, ten z drugiego rzędu, pociągnął ją za grzywkę. Zrobił to niby dla żartu, ale potem wszyscy się śmiali. Nie dlatego, że było śmiesznie.

Dlatego, że nikt nie chciał być następny.

Dziewczynka chciała zniknąć. Ale nie umiała.

Chciała zasnąć. Ale też nie umiała.

Więc leżała. Nieruchoma.

Noc w pokoju wydawała się ciężka. Każdy dźwięk był za głośny. Każde wspomnienie zbyt ostre.

I wtedy... coś się poruszyło. Nie w pokoju. W niej samej.

Jakby ktoś zapukał do serca. Cicho.

Tylko raz.

Nie usłyszała słów. Ale poczuła... ciepło.

Nie narzucające się. Nie śmiejące się. Nie pytające, dlaczego płacze.

Po prostu – ciepło.

Jak kopytko, które chce potrzymać inne. Jak światło, które nie razi w oczy.

Dziewczynka nie знаła słowa na to coś.

Ale po raz pierwszy tego dnia... pomyślała:

A co jeśli... ktoś mnie naprawdę zobaczy?

Nie zasnęła od razu.

Ale kiedy w końcu zamknęła oczy, sen miał kolor malinowej mgły. I był cichy, jak szept:

– Już nie jesteś sama.

INTERLUDIUM XVI – O jeden krok

Bańka wisiała nisko, pulsując delikatnym, ciepłym światłem. Nie była duża. Raczej skromna, zamglona. Jakby sama nie była pewna, czy zasługuje na miejsce w Galerii.

To sen małej klaczki, która jeszcze nie śniła nigdy wcześniej. Ale dziś... potrzebowała uciec.

Z wnętrza bańki sączyły się obrazy: poduszka, nieprzyjemny śmiech ogierka, zaciśnięte powieki i cisza, która nie koła.

Schody snów prowadziły w dół. Na ich dolnych stopniach, już niemal sięgając tafli bańki, szła Angel Shore.

Powolna. Dostojna.

Ubrana w swoją dawną maskę – perfekcyjnie dopasowaną. Każdy krok rozbrzmiewał echem starych wspomnień, dawnych przedstawień, marzeń, które były spełniane... ale nigdy do końca nie należały do dzieci.

Wtedy coś się poruszyło wyżej.

JellyDrop.

Wbiegła po schodach. Bez przygotowania. Bez scenariusza.

Maskę miała przy sobie, lecz nie na pysku.

Jej oczy – te zwykłe, niezmienione – odbijały tylko jedno: troskę.

– Zaczekaj! – zawołała.

Angel zatrzymała się. Nie spojrzała w górę. Ale zamarła. Cicho.

– Nie możesz jej dotykać bez pytania. Ona... jeszcze nie wie, że ktoś może ją naprawdę usłyszeć. – głos Jelly był cichy, ale drżał od emocji.

Angel odwróciła głowę tylko lekko. Jej maska połyskiwała.

– To tylko śnieżynka. Zagubiona w hałasie.

– Ale każda śnieżynka ma imię. – odpowiedziała Jelly, schodząc powoli w dół.

W zębachniosła własną maskę śmiechu. Starą. Miękką. Poplamioną farbą.

Ale nie zakładała jej.

Weszła do bańki bez niej.

Angel patrzyła, jak zniknęła w świetle snu. Przez chwilę milczała. Potem westchnęła i... odeszła.

Rozdział 7 — Pierwszy sen Jelly po raz kolejny

Mgła snu nie przywitała jej tym razem błyskiem, ani wirującą spiralą. Nie śpiewała jej imienia, nie sypała konfetti. Była... cicha. Jakby czekała.

JellyDrop uniosła wzrok.

Serce biło jej zbyt głośno, jakby wciąż pamiętało poprzedni raz – tamten nieudany spektakl. Tamtą iluzję, w której chciała tak bardzo rozbawić dziecko, że nie zauważyła, że ono tylko chciało się schować. Cicho. Gdzieś, gdzie nikt nie śmieje się z łez.

Wtedy miała maskę. Teraz też ją miała — tą samą, różową, z błyszczącymi oczkami. Ale nie na twarzy.

Trzymała ją pod skrzydłem. Miętko. Jakby była czymś więcej niż rekwizytem. Jakby była wspomnieniem.

Zeszła po miękkich schodach snu. Nie biegła. Nie krzyczała.

Cicho weszła do bańki.

W środku było ciemno. Nie nieprzyjemnie — raczej spokojnie. Jak w pokoju, w którym ktoś nie zgasił światła, ale też nie włączył żadnej muzyki. Tylko oddychanie. Tylko oczekiwanie.

Dziewczynka leżała na pościeli utkanej z kropel światła. Nie śniła jeszcze niczego. Nie płakała.

Ale jej kopytka były zaciśnięte, a uszy lekko drżały.

Jelly uklękła przy niej. I... nic nie powiedziała.

Była. Po prostu była.

Czuła, jak coś w niej samej też drży – wspomnienie tamtej innej dziewczynki. Tamtej, z której kucyki się śmiały. Tamtej, którą ktoś pociągnął za grzywkę. Tamtej, która też leżała z pyszczkiem w poduszce, próbując nie płakać zbyt głośno, żeby nie usłyszała mama, bo mama była zmęczona.

Jelly oddychała powoli. Liczyła swoje własne oddechy, żeby nie poganiać tych innych.

I wtedy dziewczynka drgnęła. Otworzyła oczka. Nadal trochę przestraszone. Nadal lekko mokre.

Ale nie uciekła.

– Cześć – powiedziała Jelly, tak cicho, jak potrafiła. – Chcesz się trochę pobawić? Ale tak... naprawdę?

Dziewczynka nie odpowiedziała. Ale nie odwróciła wzroku. Po chwili skinęła głową.

Jelly uśmiechnęła się. Nie tym dawnym uśmiechem — roziskrzonym i gotowym do sztuczek. Tym razem... prawdziwym. I trochę niepewnym.

– Mam coś. – wyciągnęła maskę spod skrzydeł. – Kiedyś pomagała mi, kiedy było ciężko. Jak było za dużo dźwięków. Za dużo wszystkiego.

Dziewczynka patrzyła.

– Nie musisz jej zakładać. – dodała Jelly. – Możesz po prostu potrzymać.

Mała klaczka wyciągnęła kopytko. Dotknęła maseczki. Potem przytuliła ją do siebie, jakby to był pluszak. I przez chwilę, długą chwilę... nic nie mówiła.

Ale jej oddech się zmienił. Zrobił się miękki. Cichszy.

Nie śmiech.

Jeszcze nie.

Ale ulga.

Jelly ułożyła się obok, nie za blisko. Patrzyła w sufit snu. Przypominał niebo. Ale nie taki, jakie robiła dawniej. Nie było tam światełek ani projekcji gwiazd.

Było tylko ciepło.

I jeden delikatny błysk – jakby śniło się coś spokojnego.

Wtedy Jelly zrozumiała, że nie chodziło o pokaz.

Nie chodziło o przemianę.

Chodziło o obecność.

I o to, by sen był miejscem, gdzie nikogo nie trzeba zmieniać.

Dziewczynka nie mówiła nic.

Ale jej powieki drgnęły.

Zasypiała.

A Jelly? Jelly pozostała jeszcze chwilę.

Z maską przytuloną do serca.

Cichutko.

Tak, jak nauczyła się od nowa.

INTERLUDIUM XVII — Prawda, o której się milczało

Mgła w Galerii śnuła się łagodnie tego dnia. Bańki unosiły się cicho, jakby same bały się dotknąć wspomnień.

Melody i Screwball stały w cieniu jednej z kolumn — tej samej, przy której kiedyś kryły się inne klaczki, te zbyt nieśmiałe, by ruszyć od razu do snu.

Z dołu, z wnętrza bańki, wciąż dobiegały delikatne odgłosy: miękkie szeptanie Jelly, śmiech klaczki, która spała, ale po raz pierwszy nie czuła się samotna.

Meluś trzymała skrzydła przy ciele. Napięte. Gotowe.

Nie odezwała się od chwili, gdy zobaczyły Angel zbliżającą się do snu.

Nie wtedy, gdy Jelly ją zatrzymała.

I nie wtedy, gdy ich siostrzyczka, z własną maską śmiechu, weszła do snu — ale jej nie założyła.

Dopiero teraz odezwała się cicho:

— Myślałaś, że znów ją stracimy?

Screwball nie odpowiedziała od razu. Patrzyła na błyskające refleksy na powierzchni bańki. Były różowe. Galaretkowe.

— Myślałam, że powtórzy się tamten dzień — powiedziała w końcu. — Tamten pierwszy... sen Jelly.

Meluś odwróciła wzrok. Milczenie między nimi nie było już ostre. Było miękkie. Zmęczone.

— Wtedy... nie powiedziałaś nic — przypomniła.

Screwball uśmiechnęła się, ale tylko jedną stroną pyska. Druga została nieruchoma.

— Wtedy nie wiedziałam, że milczenie też boli. Myślałam, że jeśli ją pochwaliłam, to ją ochroniłam. Dałam jej skrzydła.

— A dałaś tylko maskę — rzuciła Melody, surowo, ale bez gniewu.

Cisza, która zapadła, nie była pustką.

Była... przyznaniem.

Screwball skinęła głową.

— Masz rację. Powinnam była coś powiedzieć. Powinnam była jej powiedzieć, że dziecko, które płacze w śnie... nadal czuje. I że nie każdy uśmiech jest zgodą.

— I mnie też coś powinnaś była powiedzieć — dodała Meluś. — Że nie wszystko, co wtedy robiłam... było dobre. Ale że nie jestem przez to zła.

Screwball spojrzała na nią. Cicho. I uważnie.

— Chciałam, żebyś była silna. Żebyś nie kwestionowała utopii. A ty... ty zaczęłaś słuchać. Patrzeć. Pytać. I wtedy... zamiast cię wesprzeć, po prostu pozwoliłam ci się oddalić.

— Bo widziałaś, że nie wrócę? — zapytała Melody, ale nie z wyrzutem. Z ciekawością.

Screwball nie zaprzeczyła.

— Bo widziałam, że jeśli masz wybrać prawdę albo szczęście... zawsze wybierzesz prawdę. A wtedy jeszcze nie byłam gotowa, by ją znieść.

W bańce Jelly zakończyła sen. Klaczka przytuliła maskę jak zabawkę. Nic więcej się nie wydarzyło. Nie było przemiany. Nie było spektaklu.

Ale śniła dalej. Spokojniej.

Melody odetchnęła.

— Teraz przynajmniej wiesz — powiedziała cicho — że nie każda z nas musi być taka sama. I że nie każda potrzebuje... maski.

Screwball podniosła wzrok na rozświetloną bańkę.

W jej spojrzeniu coś błysnęło. Może żal. Może... wdzięczność.

— To był jej pierwszy prawdziwy sen, Meluś. Nie Jelly. Tamtej małej. Pierwszy sen, w którym nikt nie chciał jej zmieniać.

Melody zamknęła oczy.

I przez ułamek sekundy jej skrzydła... drgnęły.

Nie gotowe do ucieczki.

Ale do... powrotu.

INTERLUDIUM XVIII – Ciszej niż oklaski

Jelly wyszła z bańki powoli, jakby nie chciała jej obudzić.

Sen za jej plecami zamknął się cicho, jak drzwi do pokoju dziecięcego, zamykane z największą delikatnością. Malinowa mgła rozsypała się w powietrzu i zniknęła, zostawiając tylko ciepło — i coś jeszcze.

Spokój.

Nie iluzję. Nie euforię. Nie aplauz.

Tylko spokój.

Na górze, na szczycie spiralnych schodów Galerii, czekała już Angel Shores. Jej maska błyszczała niecierpliwie w świetle komnat, a spojrzenie miała chłodne. Patrzyła na Jelly jak sędzia, który już zna werdykt.

— I co? — rzuciła z nutą znudzenia. — Uśmiechnęła się? Zatańczyła? Zmieniła się?

Jelly spojrzała tylko na nią, nie odpowiadając od razu.

Angel prychnęła, odwracając wzrok.

— Może i jest spokojna — powiedziała, jakby sama próbowała się przekonać. — Ale nadal pamięta, że ją pociągnęli za grzywkę. Nadal czuje, że nikt nie stanął w jej obronie. Tego się nie zabiera jednym przytuleniem.

— I nie próbowałam. — odpowiedziała cicho Jelly.

Angel nie skomentowała. Po prostu zeszła ze schodów i zniknęła w jednym z korytarzy. Jej maska rozbłysła na pomarańczowo i zgasła, jak iskra bez ognia.

Jelly stała chwilę w miejscu.

Wtedy zobaczyła je.

Meluś.

I Screwball.

Nie klaskały. Nie wiwatowały.

Ale w oczach Meli było coś, czego Jelly nie widziała u niej od dawna. Nie błysk rozbawienia. Nie aprobata.

Duma.

Nie wielka, triumfalna. Raczej cicha, jak cień skrzydeł w południe. Ale była.

A w oczach Screwball?

Też coś innego. Coś... nowego.

Nie ten miękki uśmiech mentorki, która mówiła dobra robota tylko dlatego, że wypadło. Nie spojrzenie opiekunki, która cieszyła się z wykonania planu.

Tym razem spojrzała na Jelly, jakby naprawdę ją zobaczyła.

I nie musiała nic mówić.

Bo Jelly pierwszy raz nie czuła potrzeby pytać:

Czy zrobiłam to dobrze?

Wiedziała.

Nie przez słowa.

Przez to, że wreszcie — naprawdę — nikt nie poprawiał jej maski.

INTERLUDIUM XIX – Dwie Maski na Ławeczce

Galeria była cicha.

Nie z powodu braku snów — bańki wciąż dryfowały po powietrzu, szepcząc o dziecięcych marzeniach, strachach, pragnieniach. Ale coś się zmieniło.

Serca sióstr biły w innym rytmie.

JellyDrop siedziała na starej, zakrzywionej ławeczce przy jednej z bocznych ścian. W kopytkach obracała swoją maskę — różową, wciąż lekko błyszczącą. Nie zakładała jej, ale nie potrafiła też zostawić jej za sobą. Leżała jak wspomnienie, ciepłe i ciężkie zarazem.

Obok niej usiadła Amber Lake. Bez słowa. Wzięła swoją własną maskę — pomarańczową, pogodną — i położyła na ławce między nimi.

– Widziałam cię – powiedziała po chwili. – W tym śnie. Przy tej małej.

Jelly spuściła wzrok, ale się nie spieszyła.

– Tym razem... niczego nie zepsułam – szepnęła. – Tylko byłam.

– I to wystarczyło – uśmiechnęła się Amber. – Właśnie o to chodzi.

Jelly milczała chwilę, wpatrzona w mgłę unoszącą się nad najbliższą bańką snu.

– Myślisz, że to naprawdę może działać? – zapytała w końcu. – Taka Utopia... bez nakazów? Bez iluzji? Bez... popychania dzieci do śmiechu?

Amber westchnęła.

– Myślałam, że nie. Przez długi czas. Bo przecież śmiech był naszą bronią. Naszym narzędziem. Naszym wszystkim. Tak nas uczono.

Jelly skinęła smutno.

– Pamiętam. Mówili nam, że każde dziecko można wydobyć. Że trzeba tylko odpowiednio nacisnąć. Pokazać mu, jak powinno się bawić. Jak powinno się czuć.

– Ale to było kłamstwo – powiedziała Amber łagodnie. – Dobrze o tym wiesz. Kłamstwo podszyte troską, jak cukierek z gorzkim nadzieniem.

– Ja... – Jelly zamilkła na chwilę. – Ja też je powtarzałam. Myślałam, że jeśli dziecko się uśmiecha, to znaczy, że jest już nasze. Że wygrałam. Że zrobiłam coś dobrego...

– Bo tak nas uczyła – szepnęła Amber, bez oskarżeń. – Ale już nie musi.

Jelly spojrzała na nią niepewnie.

– A jeśli... dalej będę się bała? Że nie zrobię dość. Albo że zrobię za dużo?

Amber położyła kopytko na jej kopytku.

– To znaczy, że robisz to dobrze. Bo tylko te siostry, które się nie boją... potrafią naprawdę skrzywdzić.

Obie siedziały tak jeszcze chwilę w milczeniu.

– Wiesz co lubię w tej nowej Utopii? – odezwała się Amber w końcu. – Że każda z nas może być inna. Że nie musisz być najlepszą siostrą, ani taką samą jak inne. Możesz być Jelly. Po prostu Jelly. Z sercem z galaretki. Wrażliwą. I czującą więcej niż czasem chce.

Jelly uśmiechnęła się cicho. Jej oczy lśniły łzami — nie ciężkimi, tylko tymi, które pojawiają się, gdy coś w środku wreszcie przestaje boleć.

– Dziękuję.

Amber uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– I wiesz co? Nawet maski mogą się cieszyć, kiedy ich nie zakładamy cały czas.

Jelly uniosła swoją i przytuliła ją do piersi — jak tamta mała dziewczynka.

Nie jako zbroję.

Nie jako narzędzie.

Tylko jako pamiątkę.

Czegoś, co przestało być ciężarem.

I zaczęło być początkiem.

Amber milczała przez chwilę, bawiąc się końcówką swojej grzywki, jakby szukała właściwego słowa. W końcu wzięła głęboki wdech i powiedziała cicho:

– Co sądzisz o słowach naszej men...

Zacięła się. Zbyt gwałtownie, jak na zwykłe zawahanie.

Jelly spojrzała na nią spod grzywki.

– Naszej dawnej mentorki? – dokończyła za nią, równie cicho.

Amber skinęła głową i spojrzała prosto w jej oczy.

Jej własne – nie były prawdziwe. Nie teraz.

Śliwkowe tęczówki błyszczały w świetle unoszącej się mgły, głębokie, znajome. Zbyt znajome.

Jelly wiedziała, że Amber naprawdę ma oczy koloru dojrzałej pomarańczy. Tę barwę nosiła jeszcze wtedy, gdy siadała przy niej podczas śniadań. Gdy razem uczyły się, jak rozśmieszyć bańkę. Gdy jeszcze... jeszcze nie trzeba było wybierać.

Amber uśmiechnęła się lekko, nie uciekając wzrokiem.

– Powiedziała, że nasze oczy... były kiedyś znakiem – odezwała się. – Znakiem, że należymy do siebie. Siostrzany symbol. Dziedzictwo spirali.

Jelly nie odpowiedziała od razu. Przesunęła kopytkiem po powierzchni ławki, zostawiając ślad w cienkiej warstwie snu, która osiadała tu jak kurz.

Amber mówiła dalej, spokojnie, jakby powtarzała coś, co musiała długo przemyśleć.

– I że teraz... możemy wybrać. Zachować swoje oczy. Takie, jakie je odzyskałyśmy. Albo przyjąć z powrotem te śliwkowe. Nie dla niej. Nie dla jej ojca. Dla nas. Jako znak, że jesteśmy gotowe zaufać tej drodze. Nowej drodze.

Zamilkła. Potem westchnęła i spojrzała w dal, na dryfującą w oddali bańkę.

– Jeśli jej zaufasz... przyjmiesz z powrotem symbol naszego bractwa...

Zmarszczyła lekko brwi. Skrzywiła się niemal niezauważalnie.

– Nie. To nie brzmi dobrze – mruknęła, jakby sama siebie poprawiała. – To nigdy nie było bractwo.

Zwróciła się znów do Jelly, tym razem z większą miękkością.

– Symbol naszej siostrzanej więzi. Naszej decyzji, by iść razem. Ale każdy krok... każdy sen... każda bańka... może wyglądać inaczej.

Jelly wpatrywała się w nią w milczeniu.

I wtedy, tylko na ułamek sekundy, oczy Amber zmieniły się z powrotem.

Na pomarańczowe.

Takie, jakie pamiętała.

Takie, jakie były naprawdę jej.

– Czy wolisz zostać siostrą, ale patrzeć swoimi własnymi? – zapytała Amber cicho. – Czy wolisz... znów patrzeć tym samym spojrzeniem, co my?

To nie było pytanie z podtekstem. Ani test.

To była... propozycja. Może nawet modlitwa.

Jelly spuściła wzrok na swoją maskę. Nadal trzymała ją w kopytkach, ale nie przyciskała do piersi. Już nie.

A potem uniosła głowę.

– Moje oczy... wciąż się uczą – odpowiedziała cicho. – Ale myślę, że... patrzą lepiej, niż wtedy, gdy się tylko błyszczały.

Amber uśmiechnęła się i przyjęła to bez żalu.

– W takim razie... chodźmy razem. Jakie by nie były nasze kolory.

INTERLUDIUM XX – Spiralny Szept

Amber odeszła, zostawiając za sobą delikatny ślad światła – takiego, który nie raził oczu, ale też nie dawał ciepła, jeśli się go nie rozumiało.

Jelly została sama.

Siedziała w jednej z lśniących nisz Galerii, gdzie dźwięki snów cichły, a bańki odbijały tylko echo światła. Trzymała w kopytkach swoją maskę – tę samą, co zawsze – ale nie patrzyła na nią. Wzrok miała wbity gdzieś głębiej. W coś, czego jeszcze nie potrafiła nazwać.

– Jeszcze nie wybrałaś – powiedział ktoś spokojnie.

To Angel Shores.

Przysiadła obok niej bez szelestu, jakby zawsze tam była. Jej maska – już założona – połyskiwała delikatnie, ale nie zasłaniała całkiem oczu. Ich śliwkowy blask był intensywny, prawie gorący.

– Pamiętasz swój taniec? – zapytała miękko. – Spiralny?

Jelly nie odpowiedziała od razu. Ale jej kopytka zacisnęły się lekko na masce. Jakby coś w niej się wzdrygnęło.

– Meluś prowadziła cię przez wir – kontynuowała Angel. – Byłam tam. Pamiętam. Byłaś taka... lekka. Wirująca jak pyłek. A jednocześnie tak silna. Wtedy naprawdę wyglądałaś jak jedna z nas. Jak siostrzyczka chaosu. Czysta. Prawdziwa.

Jelly drgnęła. Nie ze wstydu. Ze wspomnienia.

Pamiętała. Wirujące światła. Muzykę, która nie płynęła z instrumentów, tylko z ich własnych serc. Dziecięcy śmiech, który rozbrzmiewał jak hymn.

I Meluś. Jej przewodniczkę.

Meluś, która wtedy uśmiechała się szczerze.

– To była iluzja – powiedziała Jelly cicho. – Piękna. Ale... nie wiem, czy cała była prawdziwa.

Angel spojrzała na nią z ukosa.

– A co, jeśli nie musi być w całości prawdziwa? Jeśli właśnie dzięki tej iluzji zaczęliśmy wierzyć, że jesteśmy kimś więcej?

– Wierzyć... a być – to nie to samo.

Milczały chwilę.

W oddali jedna z baniek pękła cicho, wypuszczając z siebie senny szept.

Angel w końcu westchnęła.

– Wiesz, że nie musisz być mną. Ani Amber. Ani Meluś. Możesz być sobą. Ale jeśli naprawdę jesteś siostrą... to czemu nie chcesz, żeby to było widoczne? Czemu boisz się założyć z powrotem nasze oczy?

Jelly powoli odwróciła się do niej.

Jej własne oczy — jeszcze nieśmiałe, ale przejrzyste — odbiły śliwkowe spojrzenie Angel.

– Bo może... nie jestem gotowa patrzeć tak, jak kiedyś.

– A może... jesteś gotowa patrzeć lepiej – szepnęła Angel. – I właśnie dlatego tańczymy spiralnie. Żeby każdy krok był nasz. Nawet jeśli czasem zatoczmy koło.

Jelly uśmiechnęła się blado.

Ale nie odpowiedziała.

Maska spoczywała nadal w jej kopytkach.

A w oczach — tych jeszcze własnych — mignęło coś nowego.

Niepewność?

Może.

A może... pierwszy krok.

SCENA – Maską, która jeszcze pamięta (NIEKANONICZNA)

Bańka była mała. Po prostu... ciasna. Jak sen, który nie wie jeszcze, czy chce się rozwinąć.

JellyDrop zawisała na granicy wejścia. Jedno kopytko już w środku, drugie jeszcze na schodku Galerii. Dziewczynka w bańce spała niespokojnie — nie płakała, ale jej oddech był nierówny, jakby każda próba snu natrafiała na coś ostrego.

Jelly nie weszła od razu.

Spojrzała na maskę w swoich kopytkach.
Różowa. Lekko porysowana. Wciąż miękka.

Przecież to tylko narzędzie, pomyślała.
Nie zakłęcie. Nie przymus.

— Tylko na chwilę... — szepnęła do siebie. — Żeby było łatwiej.

Założyła maskę.

Świat zmienił się natychmiast.

Nie gwałtownie. Nie jak dawniej. Raczej... znajomo. Kolory zrobiły się cieplejsze. Krawędzie snu wygładziły się same, bez wysiłku. Muzyka — ta stara, spiralna — odezwała się cichutko, jakby czekała tylko na pozwolenie.

Jelly poczuła to dobrze znane uczucie:
lekkość.
kontrolę.
pewność, że wie, co zrobić.

Weszła do bańki.

— Hej... — powiedziała śpiewnie. — Popatrz, co mam!

Z kopytka wypłynęły małe światełka. Nie spektakl — tylko drobne iskry, jak dawniej, kiedy uczyła się pierwszych sztuczek. Dziewczynka poruszyła się. Jej oddech się wyrównał.

Jelly poczuła ukłucie ulgi.

Widzisz?
Działa.

— Możemy zatańczyć — zaproponowała miękko. — Albo polecieć gdzieś daleko. Tam, gdzie nikt się nie śmieje.

Dziewczynka uśmiechnęła się nienaturalnie szeroko.

Jelly zamarła.

To nie był uśmiech ulgi.
To był ten sam uśmiech, który widziała setki razy.
Uśmiech, który pojawiał się *zanim* dziecko przestało czuć.

Muzyka lekko przyspieszyła. Spirala snu zaczęła się domykać — sama, automatycznie, jak dobrze naoliwiony mechanizm.

— Nie... — wyszeptała Jelly.

Dziewczynka wciąż się uśmiechała. Ale jej kopytka zacisnęły się mocniej niż wcześniej.

Jelly poczuła coś zimnego pod maską.

Nie radość ani chaos. Rutynę.

Zdjęła maskę gwałtownie.

Świat zadrżał, a kolory przygasły. Muzyka urwała się jak przecięta nitka. Spirala nie zniknęła od razu — chwiała się jeszcze przez sekundę, jakby nie rozumiała, że ktoś właśnie przestał nią kierować.

Jelly uklękła przy dziewczynce. Bez uśmiechu. Bez światła.

— Przepraszam — powiedziała cicho. — To... było za dużo.

Dziewczynka mrugnęła. Uśmiech zniknął. Zostało zmieszanie. I coś jeszcze.

Ulga.

Nie spektakularna. Mała. Prawdziwa.

— Możemy... po prostu posiedzieć? — zapytała dziewczynka niepewnie.

Jelly poczuła, jak coś w niej pęka. Ale nie boleśnie.

— Tak — odpowiedziała. — Możemy.

Usiadły obok siebie. Bez iluzji. Bez tańca.

Maska leżała obok Jelly na podłodze snu.

Nie zniknęła.

Nie pękła.

Ale pierwszy raz...

nie była potrzebna.

A Jelly zrozumiała coś bardzo ważnego:

Maska nadal działa.

I właśnie dlatego nie może jej używać tak, jak kiedyś.

Bo największe niebezpieczeństwo nie było w tym, że iluzja raniła.

Tylko w tym,

że *prawie* zawsze działała.

Rozdział 9 – Dzieci i drzwi

Domek w lesie zazwyczaj spał za dnia.

Nie dosłownie — parował herbatką, oddychał zakamarkami, skrzypiał pod ciężarem wspomnień — ale miał w sobie tę osobliwą ciszę, która mówiła: to miejsce zna zbyt wiele historii, by się spieszyć.

Dziś jednak ta cisza została przzerwana.

Nie przez Screwball. Nie przez Meluś ani Jelly. Nawet nie przez sen.

Tym razem — przez dzieci.

Przyszły z doliny. Trójka. Może czwórka, jeśli liczyć tę cichą w tyle, co zawsze wpatrzona w kopytka. Nie wyglądały na poszukiwaczy przygód — raczej na tych, którzy

przypadkiem skręcili nie tam, gdzie trzeba, idąc za rozdartym balonikiem lub skrótem, który ktoś naszkicował patykami w błocie.

Znalazły drzwi.

Nie te główne. Nie zaczarowane. Zwykłe, drewniane, z zawiasem, który jęknął jakby z wahaniem. Otworzyły się bez pukania.

A potem... było już za późno, by nie widzieć.

JellyDrop zauważyła ich pierwsza.

Siedziała na werandzie, rysując coś w powietrzu bańkami, które układały się w ślady gwiazd. Gdy usłyszała kroki, nie uciekła. Nie skryła się. Odwróciła tylko powoli głowę — jak ktoś, kto nie boi się już rozpoznać własnego odbicia.

– O, patrzcie – odezwał się ogierek z przodu. – To ta dziwna! Co zniknęła na kilka dni i teraz się uśmiecha, jakby była księżniczką.

Pozostałe dzieci chichotały. Cicho, nerwowo. Nie rozumiały. Więc się śmiały.

Jedna z klaczek — ta z kokardką — zmarszczyła pyszczek.

– To tu mieszkasz? W... domku czarownicy?

Jelly nie odpowiedziała od razu. Jej spojrzenie nie było ani wrogie, ani przestraszone. Było... miękkie. Trochę zbyt dojrzałe jak na jej wiek. Ale też pełne niepewności. Oddychała głęboko. Przez chwilę wyglądała, jakby chciała wstać.

Ale wtedy drzwi otworzyły się za jej plecami.

I wyszła Melody.

Melody nie miała na sobie maski. Nie nosiła też śliwkowych oczu. Jej skrzydła były złożone, lecz pełne napięcia, jakby gotowe osłonić. Jej krok był cichy, ale stanowczy. Gdy zobaczyła dzieci — dzieci z jej dawnej szkoły — na sekundę zatrzymała się w miejscu. Potem ruszyła.

W powietrzu zamigotał cień iluzji.

Była szybka. Instynktowna. Stara szkoła siostrzanych reakcji. Melody nie chciała pozwolić, by siostrze stała się krzywda. Nawet jeśli ta krzywda miała postać słowa.

Ale zanim zakłęcie się uformowało, usłyszała głos.

– Nie. – powiedziała Screwball.

Stała oparta o futrynę. Jej grzywa zwisała miękko, jakby nie miała w sobie już żadnych zakłęb. Tylko ciszę. I cień dawnych decyzji.

– Nie przestawaj być sobą, nawet jeśli cię nie rozumieją.

Melody odetchnęła ciężko. Iluzja zgasła. Bańki Jelly pękły.
A dzieci... milczały.

Coś w tej chwili się zmieniło.

Nie z powodu czararu.

Z powodu tego, że nie został użyty.

Ogierek spojrzał na Jelly, marszcząc brwi.

– Myślałem, że jesteś dziwna. Ale chyba po prostu... masz swój świat, co?

Klaczka z kokardką przewróciła oczami.

– I masz siostrę z ostrym językiem. Uważaj, bo rzuci na nas iluzję i będziemy śnić o warzywach.

Jelly zaśmiała się. Autentycznie.

Melody przewróciła oczami — ale bez gniewu. Z ulgą.

A dzieci... zaczęły się wycofywać. Nie uciekły. Po prostu uznały, że to miejsce — zbyt dziwne, zbyt spokojne — nie było dziś warte ich uwagi.

Odeszły. Cicho.

Została tylko echo kroków.

I cisza, która powróciła do domku. Ale już nie taka sama.

Melody spojrzała na Screwball.

– Myślałam, że masz być naszą przewodniczką. A jednak... się nie odezwałaś.

Screwball uśmiechnęła się lekko.

– Przewodniczki czasem milczą, bo widzą, że ktoś inny idzie już swoją drogą.

Jej spojrzenie nie było ani gorzkie, ani dumne.

Było pełne spokoju.

Jakby wreszcie naprawdę wierzyła, że siostry nie potrzebują już mistrzyni.

Tylko miejsca, w którym mogą oddychać.

ROZDZIAŁ 10 – Czarne Jabłko

Sad był stary.

Nie tylko przez wiek drzew, ale przez sposób, w jaki oddychał.
Jakby każdy konar pamiętał sny, które się tu wydarzyły — te dobre, i te, o których nie chciało się mówić.

Między gałęziami wisały wciąż dawne bańki. Puste, porzucone, niektóre pęknięte. Inne zatrzymane w półśnie, jakby czekały na czyjś powrót.

Melody chodziła między nimi ostrożnie.

Znała to miejsce. Była tu wiele razy — jako Meluś, jako cień, jako mistrzyni iluzji i uczenia się zapominania.

Ale dziś była tylko sobą.

Bez maski. Bez mimikry. Bez czaru gotowego do użycia.

Szła za Screwball.

Nie dlatego, że ją prowadziła.

Ale dlatego, że poprosiła.

Zatrzymały się pod najstarszym z drzew. Jabłoń z konarami jak rozczapierzone kopyta. W jej cieniu ziemia pachniała jak jesień, nawet latem.

Na jednej z gałęzi wisało jabłko.

Nie czerwone. Nie zielone.

Czarne.

Lśniące jak obsydian. Jak zrodzone z nocy.

Screwball spojrzała na nie długo, zanim uniosła je magią i podała Melody.

Nie odezwała się od razu.

Ale kiedy już przemówiła, słowa były ciche. Bez presji.

– Jeśli je zjesz... zapomnisz ból. Ale i prawdę. Wrócisz do snów, gdzie wszystko jest łatwe. Gdzie dzieci cię słuchają, bo nie znają innego świata.

Melody nie odpowiedziała.

Wzięła jabłko.

Ważyło w kopytkach jak wspomnienie. Jak pytanie.

Z dala słychać było śmiech JellyDrop — prawdziwy, lekki.

Bawiła się z Amber Lake. Uczyła ją nowej gry w bańki.

Cień spiralnego tańca unosił się w ich ruchach, ale nie był już rytuałem.

Był wyborem.

Melody patrzyła długo na jabłko.

Potem... zaczęła iść.

Nie do ust.

Do Jelly.

Zbliżyła się cicho, z jabłkiem zawieszonym w magii tuż przed sobą.
Jelly spojrzała zaskoczona.

– To...? – zapytała.

Melody nie odpowiedziała słowami.

Podawała jej jabłko.

– To nie jest prezent, który chcę dać – powiedziała tylko.

I zostawiła je w jej kopytkach.

Jelly patrzyła na nie długo. Jabłko lśniło, ciemne, piękne.

Ale w jej oczach nie było chęci.

Było zrozumienie.

Screwball przyglądała się temu z oddali. Nie powiedziała nic.

Ale gdy Melody wróciła na werandę, spojrzała jej w oczy.
Nie śliwkowe. Nie pomarańczowe. Po prostu – jej.

– Dziękuję, że nie wybrałaś za mnie – powiedziała Melody.

Screwball skinęła głową.

I wtedy po raz pierwszy tego dnia... naprawdę się uśmiechnęła.

Nie jako mentorka. Nie jako dawna władczyni Galerii.

Ale jako ktoś, kto wreszcie zrozumiał, co znaczy być siostrą.

Rozdział 11 – Rysa i wspomnienie

Lusterko było małe. Takie, które łatwo zmieścić w kieszonce sukienki albo w tajnej przegródce skrzynki z zabawkami. Screwball położyła je na stole, jakby odkładała drobny, ale cenny klejnot.

Jelly nie dotknęła od razu. Wzrok sam błądził po ramce — lekko wyszczerbionej, z miejscami wytartymi od czyichś kopytek. Dopiero potem odważyła się spojrzeć w taflę.

A tam...

Nie było spiralnych oczu.
Nie było maski.
Była tylko dziewczynka, którą kiedyś była.

Stała w kuchni pachnącej kompotem z papierówek. Na blacie chłodziły się słoiki z konfiturą, a w rogu na krześle leżał kocyk z przyszytym w pośpiechu guzikiem. W powietrzu unosił się dźwięk — głos mamy, nucącej coś cicho, nie dla kogokolwiek innego, tylko dla niej.

To wspomnienie nie miało ostrych krawędzi. Było miękkie, jak światło w późne popołudnie. I jednocześnie ciężkie, bo niosło ze sobą pytanie, które Jelly tak długo spychała w głąb:

Czy naprawdę chciała to wszystko oddać w zamian za zapomnienie?

Jej kopytko drgnęło, kiedy dotknęła szkła. Obraz się zachwiał. Kuchnia zgasła. Został tylko jej własny oddech — teraz, tu, w domku w lesie.

– Chyba... nie chcę zapomnieć – powiedziała cicho, bardziej do lustra niż do Screwball.

Dawniej... wiedziała, co by usłyszała w odpowiedzi. Słowa o tym, że pamięć boli, że łatwiej jest puścić i zatopić się w nowych snach. Że ból można zamienić w coś lepszego.

Ale teraz Screwball nie próbowała poprawiać jej myśli.
Nie mówiła: Zawiodłaś.
Jej głos był łagodny, prawie niewyraźny.

– Dobrze. Będę pamiętać razem z tobą.

Jelly odwróciła się powoli. I po raz pierwszy od dawna poczuła, że między nimi nie stoi scena, ani rola mistrzyni i uczennicy.

Były po prostu dwie klaczki.

Dwie siostry.

Dwie pamięci, które postanowiły nie zgasnąć.

Rozdział 12 – Sen bez mistrza

Noc w domku w lesie była cicha. Nie ta cisza, która dusi, ale taka, w której można usłyszeć własny oddech i bicie serca kogoś obok.

Jelly i Meluś leżały w swoich łóżkach, oddzielone tylko wąską przestrzenią, w której kiedyś Screwball siadała, by prowadzić ich sny. Dziś miejsce było puste.

– To... co robimy? – spytała Meluś szeptem, jakby bała się obudzić coś w ścianach.

– Nie wiem. Może... po prostu spróbujemy? Same.

Zamknęły oczy w tym samym momencie, jak na umówiony znak. I nagle znalazły się w przestrzeni, która nie należała do Galerii ani do żadnej z masek.

Był tam dom. Ale inny niż wszystkie, które śniły dotąd. Nie miał spiralnych okien ani podłogi z luster. Miał drewniany ganek, skrzypiące stopnie i ogród pachnący poranną rosą. W środku czekał pokój pełen kocyków, gier i starych poduszek.

Nie było w nim żadnego spektaklu.

Nie było publiczności.

Były tylko one — śmiech niespieszny, jak rozmowa, która może trwać całą noc.

Melody uniosła wzrok.

– Wiesz... to chyba pierwszy sen, w którym nie czuję, że ktoś mnie prowadzi.

– Mnie też nikt nie prowadzi – odpowiedziała Jelly. – Ale może o to chodzi.

Bawiły się w chowanego między półkami, grały w wymyślone gry, rysowały kredą po deskach, które rano pewnie znikną. A jednak w tym śnie każda z nich była prawdziwa, bez masek i ról.

Gdy świt wślizgnął się przez okna, sen powoli rozplątał się jak wstążka. Otworzyły oczy w tym samym czasie.

W progu stała Screwball. Nie jak dawna mistrzyni — raczej jak ktoś, kto chciał upewnić się, że wróciły.

– To wasz świat – powiedziała spokojnie. – Nie mój.

Meluś wstała i podeszła do niej.

– To może być też twój – odparła, obejmując ją lekko. – Ale tylko jeśli nie będziesz udawać.

Screwball przyjęła ten uścisk bez słów.

A Jelly, patrząc na nie, poczuła, że pierwszy raz od dawna sen i jawę dzieli naprawdę cienka granica — taka, którą same mogą wybrać, czy przekroczyć.

Rozdział 13 – Spiralne pytanie

Galeria Luster tętniła cichym oddechem, jakby sama wyczuwała, że tej nocy coś się wydarzy. Ściany odbijały blask setek drobnych światełek, unoszących się w powietrzu niczym świecące nasionka dmuchawca. Każde niosło czyjś śmiech, czyjeś wspomnienie — dawne lub dopiero zrodzone.

Z korytarzy napływały dzieci. Amber Lake szła przodem, krok pewny, spojrzenie fioletowe jak śliwka o zmierzchu. Tuż za nią — Jelly, z maską w kopytku, ale tym razem zdjętą z twarzy. Meluś pojawiła się chwilę później, zatrzymując się w cieniu jednej z kolumn, jakby chciała mieć całą salę na oku, a jednocześnie nie rzucać się w oczy.

W centrum stała Screwball.

Nie wznosiła głosu, nie rozkazywała. Jej spirale w oczach tliły się cicho, a ruchy były powolne, miękkie.

– Czy chcecie zatańczyć? – zapytała. Nic więcej.

Nie było iluzji, które wciągałyby w wir. Nie było melodii, która porywałaby mimo woli. Sala pozostała nieruchoma, a wybór zawisł w powietrzu jak pytanie, na które każdy musiał odpowiedzieć sam.

Amber zrobiła pierwszy krok. Jej kopytko dotknęło posadzki z miękkim stuknięciem, a echo rozlało się po sali jak początek melodii. Jelly spojrzała na nią, potem na Screwball, i bez słowa dołączyła.

Meluś wciąż patrzyła. Jej skrzydła drgnęły lekko, jak wtedy, gdy serce chciało zrobić coś wbrew ostrożności. Po czym dołączyła do reszty

Screwball obserwowała, nie ruszając się z centrum spirali. Uśmiech miała łagodny, ale w oczach czaiło się coś, co Meluś dostrzegła od razu — duma bez przymusu.

Taniec rozpoczął się powoli. Dwie siostry krążyły w rosnącym świetle, a ich kroki zostawiały na posadzce wzory jak na wodzie. Spiralne. Niespieszne. Otwarte.

A pytanie Screwball — Czy chcecie zatańczyć? — pozostało w powietrzu, jak obietnica, że każdy kolejny krok będzie już tylko własny.

Rozdział 14 – Spiralny taniec

Spirala już wirowała.
Ale nie tak, jak kiedyś.

Nie było sztucznych wybuchów śmiechu ani teatralnych wejść. Kroki dzieci układały się w rytm, który same wybierały — niektóre szybkie, inne powolne, a część siostrzyczek stała tylko na obrzeżu, patrząc i czując, że to wystarczy.

A jednak w centrum, tam gdzie przecinały się wszystkie linie spojrzeń, stała ona.

Screwball.

Nie musiała wypowiadać zaklęć. Jej obecność wystarczała, by cała Galeria drgnęła jak jeden żywy organizm. Mgła snu oplatała podłogę, a światło spirali tańczyło po niej jak srebrne liście niesione wiatrem. Każdy jej krok zmieniał przestrzeń — tu ściana stawała się oknem, tam sufit otwierał się na gwiazdy. Wystarczył jeden gest, a iluzje same odgadywały, gdzie mają się pojawić.

Potęga, którą znały wszystkie dawne siostry, pulsowała w niej tak samo jak kiedyś. Mogła jednym skinieniem wciągnąć wszystkich w sam środek wiru. Mogła zamknąć drzwi Galerii, jak dawniej.

Ale nie zrobiła nic z tego.
Stała w centrum tylko po to, by ten wir trwał — jeśli ktoś chciał się w niego zanurzyć.

Jelly i Meluś wchodziły w rytm powoli, bez przymusu. Kopytka przesuwwały się po błyszczącej posadzce, a ruchy, które kiedyś oznaczały ostatni akt przemiany, teraz były pierwszym gestem zaufania. Amber dołączyła do nich, jej śliwkowe oczy błyszczały w półmroku.

Screwball patrzyła.

I w jej spojrzeniu było to, czego w tej sali nie widziano nigdy wcześniej — duma bez posiadania.

INTERLUDIUM XXI – Nowa zasada

Po ostatnich dźwiękach muzyki spiralny krąg powoli się rozluźnił. Dzieci, które tańczyły, odsunęły się od siebie, śmiejąc się i łapiąc oddech. Bańki snów unosiły się jeszcze chwilę w powietrzu, jakby chciały zapamiętać każdy krok, każdy błysk w oczach uczestników.

Jelly i Meluś stały obok siebie, obie jeszcze z lekkim rumieńcem na pyskach. Patrzyły na siebie przez dłuższą chwilę, aż wreszcie spojrzały w stronę reszty sióstr.

Amber Lake podeszła pierwsza. Jej śliwkowe oczy błyszczały w świetle Galerii.

– Więc? – zapytała cicho, ale jej głos odbił się echem w całej sali. – Chcecie... razem z nami?

Jelly wymieniła spojrzenie z Meluś.

– Jeśli to ma oznaczać, że jesteśmy tu, bo chcemy... – zaczęła Jelly. – To tak.

– Ale nie zawsze – dodała Meluś. – Bo ta Galeria... i domek... to nie więzienie. To nasz dom. A w domu można przychodzić i odchodzić, kiedy się chce.

Kilka głów skinęło zgodnie.

– I nie musimy ukrywać się przed rodzinami – dopowiedziała Jelly. – Ani nosić śliwkowych oczu przez cały czas. W dolinie możemy mieć swoje. Ale tu... kiedy jesteśmy razem... to będzie nasz znak.

Screwball, stojąca w tle, uśmiechnęła się lekko, ale nic nie powiedziała. Jej spojrzenie przesunęło się po każdej z nich, zatrzymując się na moment na Angel Shores, która siedziała z boku, niewzruszona, jej śliwkowe tęczy błyszczące w cieniu. Nie tańczyła. Nie powiedziała nic.

Jelly i Meluś zamknęły oczy. Gdy je otworzyły, ich spojrzenie odbiło głęboki, dojrzały fiolet. Nie jak znak posłuszeństwa. Ale jako dobrowolny symbol nowej więzi.

Amber uśmiechnęła się szeroko.

– Teraz... jesteśmy umówione.

Galeria rozbłysła ostatnim refleksem tańca. Wszyscy wiedzieli, że od dziś to miejsce ma nowe zasady.

Rozdział 15 – Dzień w dolinie

Poranek w dolinie pachniał jabłkami i świeżym chlebem. Mgła unosiła się jeszcze nad trawą, kiedy Jelly i Meluś wyszły z lasu, schodząc w stronę wioski. Ich kroki były lekkie, choć obie czuły, że to pierwszy raz od dawna, kiedy wracają tu nie w ukryciu.

Pierwsze spojrzenia były ostrożne. Kilkoro dzieci bawiących się przy studni przystanęło, a rozmowy umilkły. Ktoś szepnął coś do kolegi. Ale nikt nie uciekł.

Jelly uśmiechnęła się do małej klaczki o kremowej sierści, która trzymała w kopytkach piłkę.

– Chcesz zagrać? – zapytała.

Dziewczynka skinęła głową, choć wciąż patrzyła na nią z lekkim zdziwieniem.

– To prawda, że masz... śpiącą maskę? – spytała po chwili, jakby to pytanie samo wyrwało się z jej ust.

– Prawda – odpowiedziała Jelly łagodnie. – Ale dziś nie mam jej przy sobie. Nie potrzebuję.

Z tyłu podeszła Amber Lake.

– Ale możemy wam pokazać coś innego – powiedziała z figlarnym błyskiem w oku.

Na znak Amber, Jelly i Meluś stanęły obok siebie. Spojrzały na siebie porozumiewawczo — i wtedy ich sylwetki zaczęły się zmieniać. Delikatne światło przemknęło po ich konturach, a kształty i kolory powoli płynęły jak w odbiciu w wodzie. W ciągu kilku oddechów stały się idealnymi kopiami dwóch żrebaków stojących naprzeciwko.

Jeden z chłopców aż cofnął się krok w tył.

– To... ja? – wyszeptał.

– Tak – uśmiechnęła się Meluś, teraz z jego twarzą. – Kiedyś tak wyglądałyśmy cały czas. Chowałyśmy się w cudzych kształtach, żeby nikt nie wiedział, kim jesteśmy.

– I żeby nie zadawał pytań – dodała Jelly, oddając powoli swoją prawdziwą twarz. – Tylko że... w takim życiu nie ma miejsca na prawdziwe ja.

Dzieci z początku milczały, jakby niepewne, czy powinny się śmiać, czy bać. Ale w końcu chłopiec, którego Meluś chwilę temu udawała, roześmiał się pierwszy.

– A możesz spróbować wyglądać... jak moja siostra?

Meluś spojrzała na Jelly, a potem obie zgodnie skinęły głowami. Iluzja znowu popłynęła po ich ciałach, tym razem lekka, zabawna, bez ukrytych znaczeń. Nie była tarczą. Była grą.

Na skraju placu, w cieniu jabłoni, stała Screwball. Patrzyła na scenę z tym samym spokojem, który miała w oczach podczas spiralnego tańca. Gdy Jelly odwróciła się w jej stronę, ich spojrzenia spotkały się na chwilę — i obie zrozumiały, że nie potrzeba już żadnych rozkazów, by to miejsce było domem.

Galeria i domek w lesie pozostaną miejscem spotkań. Nie więzieniem. Nie sekretem.

Screwball uśmiechnęła się jeszcze raz, po czym zniknęła między drzewami.

Jeszcze chwilę temu plac przy studni pełen był ostrożnych spojrzeń i półszeptów. Teraz echo dziecięcego śmiechu niesło się aż do końca doliny.

Amber Lake ustawiła w rzędzie trzy wiadra, każde o innym kolorze.
– Rzucamy piłką i celujemy, które się uda trafić! – zawołała.

Niektóre dzieci podchodziły nieśmiało, ale gdy zobaczyły, że Meluś trafia do żółtego wiadra bez patrzenia, a Jelly rzuca tak, że piłka po drodze robi dwa idealne kółka w powietrzu, od razu ustawiły się w kolejce.

Kiedy przyszła kolej najmłodszego żrebaka, kopytka mu drżały.
– Mogę... z zamkniętymi oczami? – spytał cicho.

– Jasne – odpowiedziała Jelly. – Ale najpierw mała pomoc.

Jej kopytko musnęło powietrze, a piłka zaczęła lekko migotać. Gdy chłopiec rzucił, trafił prosto do czerwonego wiadra. Nie wiedział, czy to jego zasługa, czy magii, ale śmiech, który wyrwał się z jego gardła, był prawdziwy.

Wkrótce zabawa przeniosła się w stronę łąki. Dzieci goniły świetliste iluzje motyli, które Meluś wypuszczała z końcówek skrzydeł. Amber opowiadała historię o zaczarowanym sadzie, a Screwball — gdzieś na uboczu, już po powrocie z lasu — rysowała w powietrzu kolejne figury, które przybierały formę łagodnych, spiralnych ścieżek.

Nikt nie pytał o maski. Nikt nie wspominał dawnych zasad.
Tego dnia, w promieniach późnego popołudnia, dolina była miejscem, gdzie siostry chaosu i wiejskie żrebaki bawiły się jak równi z równymi.

– Wiesz... – szepnęła Jelly – chyba pierwszy raz czuję, że tu naprawdę możemy zostać.

Meluś uśmiechnęła się, nie przestając puszczać świetlistych motyli.
– Bo teraz to nasz świat. Nie tylko ich... i nie tylko jej.

I tak, bez żadnego sygnału, wszystkie dzieci — te z doliny i te z Galerii — utworzyły koło. Nie spiralę, nie rytuał. Po prostu krąg.

Krąg, w którym każdy mógł być sobą.

Interludium XXII – Czy naprawdę potrafisz?

Powietrze było gęste od zapachu rozgrzanej trawy, słońce leniwie spływało po liściach drzew, a śmiech dzieci niósł się echem po polanie. Siostry chaosu bawiły się z młodszymi żrebakami — goniły się między krzewami, puszczały bańki, które mieniły się jak małe planety, i udawały, że kamienie są polami bitew.

Screwball stała w cieniu, oparta o pień. Nie rzucała się w oczy. Obserwowała. Jej spojrzenie ślizgało się po ruchach sióstr, po uśmiechach i okrzykach dzieci. W oczach miała coś trudnego do nazwania — jakby starała się zapamiętać każdy szczegół, a jednocześnie zachować dystans.

Meluś siedziała na trawie, opowiadając trójce młodszych ogierków o tym, jak kiedyś uczyła się robić mimikrę. Jeden z nich — drobny, srebrzystogrzywy, z błękitnymi oczami —

przysunął się bliżej.

– To prawda...? – zapytał niepewnie, zerkając w stronę skraju lasu. – Że ta klaczka chaosu... Screwball... jest tak przekonująca, jak mówią?

Meluś zmrużyła oczy.

– A co dokładnie słyszałeś?

– Że może być kimkolwiek. Że... jak zechce, to przekona cię, że jest twoją mamą. – Ogierkowi drgnął głos, ale w oczach miał błysk ciekawości, a nie strachu. – Dorośli mówią, żeby się trzymać od niej z daleka. Ale ja... ja chciałbym zobaczyć.

Meluś odetchnęła głębiej, próbując ocenić, czy to tylko dziecięca brawura, czy coś więcej.

– Widziałeś ją przecież w domku.

– Tak, ale wtedy tylko patrzyła. Nic nie robiła. – Nachylił się ku niej, półszeptem dodając: – Możesz ją poprosić?

Meluś już miała odmówić, ale wtedy poczuła na sobie czyjeś spojrzenie. Screwball wysunęła się spod drzew i wolnym krokiem podeszła. Jej cień przesunął się po trawie, kładąc się tuż obok nich.

– Wiesz, o co prosisz? – zapytała, patrząc prosto w oczy ogierka. Jej głos był łagodny, ale w jego brzmieniu kryło się coś, co sprawiało, że serce biło szybciej. – I czy tego naprawdę chcesz?

Ogierek skinął głową, może trochę zbyt szybko.

– Chcę.

Screwball uśmiechnęła się tak, jak robiła to w snach — powoli, z tym charakterystycznym rozświetleniem w oczach.

– Dobrze. Ale pamiętaj... ja zawsze daję dokładnie to, o co ktoś poprosi. Ani więcej, ani mniej.

Mgła zaczęła pełznąć po trawie, ledwie widoczna w słońcu. Otoczyła ich miękkim pierścieniem, jakby chciała odciąć od reszty świata. Meluś cofnęła się o krok, czując w piersi znajome ukłucie. To był ten sam początek, którego niegdyś doświadczyła ona sama... i wiedziała, że za moment ogierek wejdzie w coś, czego już nie da się odwrócić.

Mgła zgęstniała, miękka jak ciepły koc. W jej bieli coś zaczęło się zmieniać — zarys drobnej postaci powoli falował, rósł, a kontury wyostrzały się w kształt znajomej sylwetki.

Ogierek mrugnął, a jego oddech przyspieszył.

– M... mamó? – wyszeptał.

Screwball — już nie Screwball, ale matka, którą chłopiec pamiętał z dzieciństwa — kucnęła, by zrównać się z jego wzrokiem. Jej kopytko musnęło jego policzek, a głos brzmiał tak, jak zawsze chciał go słyszeć:

– Jestem tutaj, kochanie. Zawsze byłam.

Meluś patrzyła, jak ogierek niemal topnieje w jej objęciach. Jak jego barki rozluźniają się w sekundę, jakby ktoś zdjął z nich ciężar, którego nawet nie potrafił nazwać. Słodkie

szepty płynęły dalej, precyzyjnie trafiając w najczulsze miejsca serca — zapewnienia o miłości, obietnice zabawy, wspomnienia, które być może nigdy się nie wydarzyły, ale teraz wyglądały na prawdziwe.

Oni oboje — on i jego matka — byli w samym centrum mgły, a jednak wszystko było widoczne dla obserwujących. Dzieci z doliny milczały, patrząc szeroko otwartymi oczami.

– Chcesz się pobawić w dom? – zapytała matka głosem, w którym każda nuta była ciepła jak promień słońca.

Ogierek skinął głową, już całkiem oczarowany.

Screwball prowadziła go przez iluzję jak mistrzyni sceny: od przytulnego pokoju, przez bajkowy ogród, aż po sam środek spiralnego tańca. Wir światła i kolorów otoczył ich oboje, a oczy chłopca błyszczały — dumą, radością, ale i głębokim fioletem, który pulsował jak echo dawnego rytuału.

Na koniec nałożyła mu maskę śmiechu.

Iluzja była tak mocna, że kiedy prawdziwa mama ogierka podeszła, by obejrzeć zabawę, chłopiec nie poznał jej wcale.

Screwball klasnęła kopytkami. Mgła ustąpiła, iluzja się rozpadła, a chłopiec zamrugał, jakby przebudzony z drzemki. Nadal miał na pysku maskę, a na jego twarzy malowało się lekkie oszołomienie.

Angel Shores, która obserwowała wszystko w milczeniu, odezwała się pierwsza:

– To nawet nie był sen... A w snach działa to jeszcze szybciej. – Spojrzała na Screwball z tym dawnym błyskiem w oku. – Powinnaś korzystać ze swoich mocy jak kiedyś.

Screwball przeniosła na nią wzrok. Nie było w nim ani triumfu, ani poczucia winy.

– Nie po to je odzyskałam — odpowiedziała cicho. – Teraz używam ich tylko wtedy, gdy ktoś mnie o to poprosi.

Interludium XXIII – Kiedyś... my

Dzieci rozproszyły się po dolinie, wracając do swoich zabaw. Ogierek, który przed chwilą tulił się do mamy, biegł już w stronę potoku, nie zdając sobie sprawy, jak blisko był świata, z którego mogło nie być powrotu.

Zostały tylko one — Jelly i Meluś — stojące obok siebie, jeszcze w cieniu mgły, która powoli się rozwiewała.

Meluś pierwsza przerwała ciszę.

– Widziałam ten jego uśmiech. – Jej głos był cichy, ale wibrował od wspomnień. – Dokładnie taki sam miałam... wtedy. Pamiętasz, jak mówiła, że to tylko zabawa w dom? Że jak będę dobra, to już nigdy nie będę sama?

Jelly skinęła głową.

– Pamiętam, że przestałam pytać, kim byłam wcześniej. Bo było mi... dobrze. – W jej

oczach błysnęło coś na kształt wahania. – To było jak... otulenie. Ciepłe, słodkie... i podstępne.

Meluś westchnęła.

– Najgorsze, że nawet wtedy myślałam, że to mój wybór. Że chcę tak żyć. A ona... – Zerknęła na miejsce, gdzie przed chwilą stała Screwball, teraz już puste. – Ona знаła wszystkie drzwi do mojego serca. I wiedziała, które uchylić.

Przez chwilę obie milczały, patrząc na bawiące się w oddali dzieci. Śmiech mieszał się z szumem liści, jakby dolina w ogóle nie zarejestrowała, że coś się tu wydarzyło.

– Myślisz, że on... zapomni? – spytała w końcu Jelly, wskazując wzrokiem ogierka.

Meluś zamyśliła się.

– Może zapomni szczegóły. Ale to uczucie... ono zostanie. Jak ślad w środku. – Odwróciła się do Jelly. – Właśnie dlatego musimy pilnować, żeby ona już nigdy nie używała tego w stary sposób.

Jelly uśmiechnęła się lekko, choć bez wesołości.

– A jeśli poproszą? Tak jak on dzisiaj?

Meluś spojrzała w stronę drzew, gdzie zniknęła Screwball.

– Wtedy to będzie ich wybór. Ale my będziemy pamiętać, jak to było, gdy... nie było wyboru.

Zapadła cisza, w której obie poczuły ciężar własnych wspomnień — i coś jeszcze. Cichą dumę, że potrafią już patrzeć na to bez iluzji.

Interludium XXIV – O krok

Gdy dzieci rozeszły się do swoich domów, a śmiech powoli gościł wśród traw doliny, Meluś została jeszcze chwilę na miejscu. Czuła, jak echo dzisiejszej sceny ciągle drży w jej sercu. Nie mogła odgonić obrazu ogierka wtulonego w mamę — z błogim, spokojnym pyszczkiem i śliwkowym cieniem w oczach.

Znała ten cień.

Znała go aż za dobrze.

Przymknęła powieki i w pamięci zobaczyła samą siebie, dużo młodszą, drobniejszą, z kopytkiem trzymanym przez Screwball. Tamten sen pachniał wtedy bezpieczeństwem. Świat otulała mgła, a słowa padające jej do ucha były miękkie i ciepłe jak koc w zimową noc. Niewiele trzeba było, by uwierzyć.

Dzisiejszy spektakl był niemal tym samym pierwszym krokiem.

To samo kojące ciepło.

To samo rozpuszczanie ostrości wspomnień.

To samo możesz odpocząć, ja się tobą zajmę.

Meluś zadrżała, bo wiedziała, jak niewiele brakowało. Gdyby to był sen, gdyby Screwball pozwoliła, by iluzja trwała dłużej... ogierek obudziłby się niepewny swojego imienia. Może już z nowym. Może już z nowym kolorem oczu — nie tylko w spojrzeniu, ale w sercu.

Dotknęła własnej twarzy, jakby chciała upewnić się, że nadal jest sobą.

Dobrze pamiętała moment, w którym u niej samej przestało to być takie oczywiste. Ten cieniutki próg między bawię się a to jest mój świat.

Ogierek dziś był o **krok** od tego samego.

Ale Screwball przerwała.

Tak po prostu.

I to właśnie najbardziej mieszało w myślach Meluś. Bo stara Screwball nigdy by tego nie zrobiła. Nigdy nie zatrzymałaby się, kiedy serce dziecka było już tak blisko jej kopytka.

Meluś uniosła wzrok w stronę drzew, gdzie zniknęła postać ich dawnej mistrzyni. I po raz pierwszy pomyślała, że może... naprawdę coś się w niej zmieniło.

Rozdział 16 – Śliwkowe oczy

Domek w lesie był pogrążony w półmroku. Ostatnie promienie zachodzącego słońca wpadały przez okno, odbijając się od starego, lekko popękanego lustra w korytarzu. Screwball stała naprzeciw niego, nie dotykając ramy, jakby bała się, że lustro znów może ją wciągnąć.

Patrzyła.

Nie widziała mistrzyni, która kiedyś prowadziła spiralne tańce jak bitwy o dusze.

Nie widziała potwora z legend, który szeptał dzieciom do snu obietnice, by uwięzić je w Galerii.

Nie widziała też cienia Discorda, odbijającego się w jej oczach.

Widziana w tafli klaczka miała śliwkowe oczy — te same, które nosiły dziś Jelly i Meluś.

Ale ich blask był inny. Spokojniejszy. Jakby wiedziała, że może poprowadzić, jeśli ktoś tego chce... i zamilknąć, jeśli nie.

Z ciszy wyrwał ją delikatny odgłos kroków.

Za jej plecami stała Jelly, bez maski, bez mimikry.

– Zatańczymy jeszcze kiedyś? – zapytała cicho, jakby to nie było pytanie o taniec, tylko o to, czy ich droga razem będzie trwała.

Screwball nie odwróciła się od lustra, ale jej odbicie uśmiechnęło się łagodnie.

– Jeśli mnie poprosisz.

Przez chwilę stały tak w milczeniu.

Dwie siostry chaosu — dawniej uczennica i mistrzyni — teraz równe.

Za oknem wiatr poruszył gałęziami.
Świat poza domkiem wciąż był pełen śmiechu dzieci, które biegały po dolinie, nie wiedząc,
że tego dnia w lesie zrodził się nowy początek.

KONIEC...